



PRZESŁUCHANIE SUPERGLINY

Jerzy Sławomir Mac

Protokół pierwszy

Warszawa, 10 lipca 1990 r., godz. 10:00-12:55

- Czy liczył pan, na przykład stawiając kreski na lampie, ile osób pan przesłuchał w czasie swojej dwudziestopięcioletniej działalności w organach bezpieczeństwa i spraw wewnętrznych?

- Nie liczyłem. Prowadzenie przesłuchań jest domeną oficerów śledczych i operacyjnych. Już szefowie powiatowych urzędów bezpieczeństwa prowadzili je rzadko, a jako szef Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa, a potem komendant wojewódzkiej milicji w Katowicach praktycznie sam tego nie robiłem, a tylko czasami przysłuchiwałem się prowadzonym przesłuchaniom. Jako wiceminister brałem w nich udział zaledwie kilka razy, w co ciekawszych sprawach, np. Jacka Kuronia, Karola Modzelewskiego, Józefa Śniecińskiego, a jako minister - już ani razu.

- Czy udział w przesłuchaniach „co ciekawszych”, jak pan to określił, przeciwników politycznych wynikał z obowiązku służbowego, czy ze zwykłej ludzkiej ciekawości?

- Nie było obowiązku, aby członek kierownictwa brał udział w przesłuchaniu. Mógł, ale nie musiał. Robiłem to tylko z ciekawości - sprawy albo człowieka.

- Ja robię to z ciekawości, ale także obowiązku wobec czytelnika. Więc odwrócimy role. Teraz pan znajdzie się w pozycji przesłuchiwanego. Nie jest ona wygodna, wiem coś na ten temat: pańscy podwładni stawiali mnie w niej, a raczej sadzali, parę razy.

- Ja również byłem przesłuchiwany parę razy. Dwa razy przed wojną, przez policję, za działalność antyrządową. Policjant mówił mi na „ty”, zresztą byłem młody. Było w tym trochę chamstwa, ale nie bito mnie. W czasie wojny na szczęście nie byłem ani razu przesłuchiwany przez Niemców. W okresie pracy w organach bezpieczeństwa byłem przesłuchiwany dwa czy trzy razy przez te organy, a potem trzy razy stawałem przed Komisją Kontroli Partyjnej: w 1956, 1968 i 1988 roku. Muszę panu wyznać, że nie lubię przesłuchań, denerwuję się, jestem zły i z wyjątkiem tych przesłuchań przed wojną pozostałe kończyły się jakąś awanturą.

- Postaram się, by to moje przesłuchanie pana było takie, jak przed wojną. Z przestrzeganiem procedury, bez stosowania nacisku, ale rzetelne. Będę pana pytał tak długo, aż wycisnę z pana wszystko, czego chcę się dowiedzieć. Jest pan gotów? A więc imię i nazwisko?

- Franciszek Szlachcic.

- Urodzony?

- 5 lutego 1920 roku w Byczynie, województwo katowickie.
- Wyznanie?
- Ochrzczony w obrządku katolickim. Pochodzenie robotnicze.
- Przynależność do organizacji politycznych?
- Przed wojną Związek Harcerstwa Polskiego i OMTUR, w czasie okupacji byłem członkiem i oficerem Armii Ludowej, po wojnie - wiadomo.
- A obecnie?
- Bezpartyjny. Nigdzie nie należę.
- Odznaczenia?
- Mam ich sporo, trudno nawet spamiętać. Najbardziej cenię sobie Krzyż Grunwaldu III klasy, Sztandar Pracy I i II klasy, Order Odrodzenia II klasy, Krzyż Walecznych i radzieckie: Order Czerwonego Sztandaru i Order Rewolucji Październikowej, to jest niezwykle wysokie odznaczenie. Większość z nich za walkę z okupantem.
- Był pan karany?
- Nie.
- Stan rodzinny?
- Mam młodszego brata, który dziś jest już emerytem, ale całe życie był robotnikiem w kopalni węgla, nie angażował się nigdy w sprawy polityczne. Mam żonę, córkę i syna.
- Stan majątkowy?
- Tylko to mieszkanie, więcej nic. Nie mam nawet auta.
- A dacza w Magdalence?
- To jest tylko taki domek drewniany.
- Jakie ma pan uposażenie?
- Milion dwieście tysięcy emerytury.
- Jakiej?
- Prominenckiej, dla zasłużonych.
- Plus dodatek za posłowanie?
- Tak, połowę diety. W sumie wystarcza na starość.
- Skarży się pan na jakieś choroby?
- Do niedawna czułem się dobrze, ale od roku mam kłopoty z opłucną. Boję się, czy to nie jest coś poważniejszego.
- Cięży na panu odpowiedzialność za to, że od roku 1945 do odejścia z KC jako funkcjonariusz aparatu bezpieczeństwa i członek władz komunistycznych, działając wspólnie i w porozumieniu z innymi osobami i z agentami obcego mocarstwa, dążył pan do utrzymania przemocą narzuconego Polsce wrogiego ustroju, z którym nie godziła się większość społeczeństwa.
- To zabrzmiało jak fragment mowy oskarżycielskiej prokuratora Żarakowskiego.
- Tyle że panu nie grozi za to kara śmierci. Nadto stawiam panu zarzut, że w swoich wspomnieniach zatytułowanych „Gorzki smak władzy” nie ujawnił pan całej prawdy o swej działalności i o działalności aparatu władzy, który pan reprezentował, zatajając wiele spraw przed czytelnikiem. Czy przyznaje się pan do tak sformułowanego zarzutu?
- Przyznaję się, ale samo to słowo jest zbyt ubogie i muszę je opatrzyć obszernym komentarzem. Co do pierwszego zarzutu: proszę pana, ja urodziłem się w ubogiej rodzinie robotniczej. Stale żyliśmy w niedostatku, w obliczu biedy i w obawie przed bezrobociem. Ojciec pracował w kopalni na powierzchni, nie zarabiał wiele. Natomiast ja, po ukończeniu szkoły podstawowej, nie mogłem dostać nawet takiej pracy. Nie dawano mi nawet na to szans w ciągu najbliższych kilku lat. Wyrastałem w marzeniu, żeby mieć stałą pracę, a największym marzeniem było znaleźć pracę na kopalni, na dole. Górnicy to była elita. Wiedziałem, że to moje marzenie jest nieziszczalne, bo takich młodych jak ja było sporo, a przyjmowano niewielu. Tylko wtedy, jeżeli ktoś umarł albo zginął w wypadku. I to na takiej zasadzie, że jeżeli zginął ojciec, to przyjmowano syna, jeżeli zginął brat, to przyjmowano brata. Znajdowałem jakieś dorywcze zajęcia przy murarzach, w lesie, przy robotach sezonowych, ale to było krótkotrwałe i marnie płatne.
- Jako bezrobotny miał pan dużo czasu. Jak pan go spędzał?
- Brałem udział w demonstracjach, w marszu bezrobotnych na Chrzanów, żyłem w środowisku komunistów, którzy nie ukrywali przede mną swej przynależności do KPP. Obserwowałem, jak każdego 1 maja policja aresztowała robotników - i to wszystko wytwarzało we mnie niechęć do ówczesnego ustroju. Byłem Polakiem, patriotą, ale tamta Polska nic mi dobrego nie dała. Nie widziałem w niej żadnej perspektywy - mogłem być tylko bezrobotnym. Natomiast komuniści roztaczali przede mną miraż, jaki wspaniały jest ustrój w Związku Radzieckim, że tam przede wszystkim wszyscy mają pracę, nie ma kryzysów, bezrobocia, i dla mnie to brzmiało bardzo atrakcyjnie. Masowe represje, prześladowania, w moim środowisku w ogóle nie było tego tematu. Można powiedzieć, że moja młodość upływała w kulcie dwóch Józefów: Piłsudskiego i Stalina. Piłsudski był wzorcem bohatera polskiego, a Stalin tym, który przynosi światu coś nowego, pragnie go przekształcić. I choć nie wstąpiłem przed wojną ani do KPP, ani do Komunistycznego Związku Młodzieży - byłem tylko ich sympatykiem - to z nadzieją patrzyłem na Związek Radziecki i na rewolucję komunistyczną. Tak upłynął mój czas do 1939 roku. Nie można więc mi zarzucać, że wdałem się w komunizm z przekory, z wyrachowania, dla kaprysu czy przeżycia przygody intelektualnej. Dla mnie była to po prostu sprawa egzystencji.
- Wybuchła jednak wojna, okupant wprowadził wręcz przymus pracy i sprawę egzystencji jednostek przesłonił problem przetrwania narodu i walki o wyzwolenie kraju. Dlaczego, jeśli zdecydował się pan na aktywną działalność w konspiracji, wybrał pan formację prosowiecką - Gwardię, a potem Armię Ludową - a nie podziemną siłę zbrojną podporządkowaną legalnym władzom Polski?
- Tak, w moim wypadku można mówić o wyborze, i to dokonywanym kilkakrotnie. Najpierw, we wrześniu, uciekałem wraz z grupą rówieśników przed Niemcami na wschód. Dotarliśmy aż pod Lwów i tam zastała nas Armia Radziecka. Mieliśmy do wyboru: iść do

Związku Radzieckiego albo wracać do Polski. Był tam taki politruk, który przechwalał się: „Myśmy tu weszli, odebrali nasze tereny, zwyciężyliśmy, Polska się rozpadła”. Nie było to dla nas przyjemne, ale i nie takie, jak dziś odbiera się datę 17 września. Mówił dalej: „To tylko chwila czasu, nasza armia jest niezwyciężona i pójdzie dalej na zachód”. Myśmy pytali, kiedy pójdzie, a on nie chciał powiedzieć, i kiedy radziliśmy się go, co robić, zostać czy wracać, powiedział: „Wracajcie na swoje tereny, a my do was przyjdziemy”.

Wróciłem więc do domu, Niemcy zarejestrowali mnie jako bezrobotnego i wywieźli na roboty do hut Salzgütter, całą grupę kilkudziesięciu młodych ludzi. Po trzech czy czterech miesiącach uciekłem stamtąd i wróciłem jako nielegalny, bez dokumentów. Musiałem się ukrywać, co nie było takie trudne, bo Niemcy byli bardzo przekupni. Dzięki łapówkom udało mi się uzyskać kartę pracy, pod warunkiem, że muszę pojechać do pracy w kopalni - najpierw do Chorzowa, gdzie od końca 1940 roku pracowałem jako wozak, a potem do Jaworzna, a więc już na moje tereny.

Po około półtora roku pracy w kopalni „Kościuszko” w Jaworznie dwóch znajomych komunistów poinformowało mnie - był to już 1942 rok - że powstała Polska Partia Robotnicza i Gwardia Ludowa i zaproponowano mi wstąpienie do niej. Był to znów wybór, bo wcześniej, chyba jakieś pół roku, miejscowy dowódca ZWZ, później AK, też mi proponował wstąpienie. „Ty jesteś drużynowym harcerskim - mówił - to powinienes być u nas”. „A jaki wy macie program?” - spytałem go. „Jak to jaki? Odzyskanie niepodległości i przywrócenie tego, co było”. To dla mnie nie była żadna perspektywa, toteż w drodze wyboru wstąpiłem do Gwardii Ludowej. 15 lutego 1943 r. złożyłem przysięgę. Zaraz zlecono mi utworzenie grupy operacyjnej i tak zostałem szefem grupy i członkiem PPR.

- Nie miał pan żadnych wątpliwości co do słuszności swego wyboru? Nic pan nie wiedział o losie Polaków na Wschodzie, o Katyniu, o masowych deportacjach?

- Muszę przyznać, że kilku komunistów z Byczyny, którzy przeszli na stronę Związku Radzieckiego, wróciło po wybuchu wojny niemiecko-radzieckiej. I oni byli niezwykle załamani tym, co widzieli w Związku Radzieckim. Bieda, nędza, chamstwo, aresztowania. Nie chcieliśmy im wierzyć, bo to, co oni mówili, naoczni świadkowie, wpływało bardziej destrukcyjnie niż propaganda niemiecka. Mąciło wyidealizowany obraz Związku Radzieckiego, zawarty w komunistycznych broszurkach. Jeden z nich mówił: „Przecież ty mnie znasz, Franek, jestem twoim kolegą. Ty nie wierz w to. Tam jest niedobrze, to nie jest socjalizm. Praca jest, tylko jest to praca katorżnicza”. Wołałem go nie słuchać. Bo jedyną nadzieją przeciwko okupacji niemieckiej była Rosja. Takie przeświadczenie wynikało z lewicowego wyboru.

- Czy wstąpienie po wojnie do organów bezpieczeństwa było też świadomym wyborem?

- Od października 1943 roku do 17 stycznia 1945 r. byłem w partyzantce. W chwili wyzwolenia pełniłem funkcję dowódcy okręgu AL na powiat chrzanowski.

- W jakim stopniu wojskowym?

- Nie miałem wtedy żadnego stopnia, ale wiedziałem, że wystąpiono dla mnie o stopień kapitana.

- Od razu kapitana?

- Tak, w grudniu 1944 roku. Ale już nie zdążono mi go nadać, ponieważ wojna skończyła się i przyznano mi go w 1946 roku ze starszeństwem od grudnia 1944 r.

- Czy prosto z lasu przeszedł pan do urzędu bezpieczeństwa?

- Prosto z lasu zgłosiłem się wraz z całą moją grupą, około 20 osób, do pełnomocnika rządu lubelskiego w Chrzanowie. On mówi: „Bardzo dobrze, żeście przyszli, bo jest ogólna decyzja, że żołnierze Armii Ludowej powinni wstępować do służby w wojsku, milicji albo bezpieczeństwie, tam wasze miejsce. Wybierajcie”. Nie lubiłem nigdy wojska, więc pozostała milicja i bezpieczeństwo. Zdecydowałem się na to drugie.

- Dlaczego nie podoba się panu wojsko?

- Nie lubię ani dyscypliny wojskowej, ani munduru, ani klimatu wojskowego. Byłem generałem 12 lat, a nie mam munduru generalskiego.

- A dlaczego wybrał pan nie milicję, lecz bezpieczeństwo? Co w ogóle wiedział pan o tej służbie, całkowicie nowej i obcej w polskim pejzażu - poza tym, że nie chodzi się tam w mundurach?

- Przyznam się panu, że jeszcze przez jakiś rok czy dwa po przejściu do pracy w organach bezpieczeństwa myślałem, by to rzucić i wrócić do pracy w kopalni. Tym bardziej że matka namawiała mnie do tego. Kopalnia - mówiła - to jest pewna sprawa, po co się w politykę mieszać. Brat nie zgodził się nigdzie iść, był zdolny, inteligentny i przepracował w kopalni całe życie. Ja też nosiłem się z zamiarem pójścia do kopalni, pisałem prośby o zwolnienie i za każdym razem, kiedy pisałem taką prośbę, awansowano mnie.

- Ale zanim pomyślał pan o wystąpieniu, musiał pan najpierw wstąpić.

- Myśmy w partyzantce nie zastanawiali się za bardzo, jaka będzie przyszła Polska. Jedno wiedzieliśmy na pewno: że to nie będzie siedemnasta republika.

- Skąd mieliście taką pewność?

- Dla komunistów przed 1939 rokiem, i może jeszcze na początku wojny, koncepcją przyszłej Polski była siedemnasta republika. Dzisiaj się tego nie mówi, ale przecież śpiewano: „Będziemy budować polską republikę rad” - to był jeden z hymnów KPP. Kiedy jednak w czasie wojny polscy komuniści pooglądali sobie te republiki radzieckie, wyleczyli się z tej wizji. Polska republika rad przestała być modelem. Wojna stworzyła coś nowego, co stało się oparciem ideologii PPR: że komunista musi być patriotą. Głównym reprezentantem tego nurtu był Gomułka.

- Wszystko pięknie, ale nie odpowiada pan na postawione pytanie: dlaczego wstąpił pan do organów bezpieczeństwa?

- Pełnomocnik powiedział nam, że to jest policja polityczna, która będzie prowadzić walkę z wrogami. Tłumaczył, że wrogami są przede wszystkim ci, którzy współpracowali z okupantem. Ponieważ zrozumiałem z tego, że bezpieczeństwo to coś wyżej niż milicja, wstąpiłem do bezpieczeństwa. Ktoś z moich ludzi poszedł do milicji, do wojska nikt się nie zgłosił, paru odeszło do cywila, a większość przeszła do pracy w Powiatowym Urzędzie Bezpieczeństwa w Chrzanowie.

- Ilu członków oddziału AL, którego był pan komendantem, poszło do chrzanowskiego PUB?

- Około dziesięciu.

- Jakie były początki pana pracy w organach?

- Na początku przeżyłem zawód. Otóż na terenie Śląska w czasie okupacji były rozbudowane struktury komunistyczne. Na terenie Chrzanowskiego PPR była niewątpliwie najsilniejszą organizacją. Mieliśmy swojego przewodniczącego tajnej rady narodowej, naszych kandydatów na starostów, na różne urzędy. I oto po 17 stycznia przysyłają nam pełnomocników - do gmin, do powiatu, do urzędów, na szefa bezpieczeństwa, szefa milicji, aprowizacji. Ludzi całkowicie obcych, gdzieś z Lubelskiego, którzy nie mają zielonego pojęcia o tym terenie, a mają za to poczucie namiestników. Poczuliśmy się obrażeni: jak to, przecież kazano nam tworzyć władze konspiracyjne, myśmy je utworzyli, a teraz przysyłają pełnomocników, z których większość okazała się marnymi ludźmi, cwaniakami, nierzadko szabrownikami. Zresztą mało kto z nich przetrwał dłużej niż dwa lata.

Dla mnie osobiście, powtarzam, był to wstrząs. Ja, szef okręgu Armii Ludowej na teren całego powiatu, przychodzę do urzędu, a tam muszę być podporządkowany tak zwanemu oficerowi bez stopnia, którego przysłali ze Wschodu. A co dzieje się w Katowicach? Przewodniczący Wojewódzkiej Rady Narodowej zgłasza się do tych pełnomocników, a oni mówią - przecież was tu nie było, a jeśli byliście, to jest to prowokacja. Nie chcieli w ogóle uznać istnienia konspiracyjnych struktur władzy ludowej, budowanych z narażeniem życia. Konkretnie, nie chciał tego uznać generał Zawadzki, który wprawdzie był z Zagłębia, ale nie było go tutaj w czasie okupacji. Ci, którzy wojnę spędzili na Wschodzie, w ZSRR, mieli jakiś kompleks, stąd negowali, że tutaj, w okupowanej Polsce, cokolwiek było.

Mało tego, w 1945 roku ci pełnomocnicy (ja ich nazywam namiestnikami) wydali polecenie aresztowania członków okupacyjnych struktur PPR jako prowokatorów i współpracowników okupanta. Mnie to ominęło, bo sam już pracowałem wtedy w bezpieczeństwie, a Chrzanów należał do Krakowa.

- Jaką pan pełnił funkcję w chrzanowskim urzędzie bezpieczeństwa, czym się pan zajmował?

- Na terenie Chrzanowa nie było praktycznie żadnej antypaństwowej działalności.. To był teren robotniczy, o rewolucyjnych tradycjach, nie było organizacji wywrotowych, było tylko trochę volksdeutschów, współpracowników okupanta, agentów. Natomiast takich, którzy byli wrogami nowego ustroju, na moim terenie nie było.

- Czyli trzeba ich było znaleźć na siłę? Trzeba ich było wyprodukować? -

- Tak. Powiedziałbym, że właśnie trzeba było ich wyprodukować. Myśmy w terenie, w 1945 roku, naprodukowali mnóstwo przeciwników.

- W jaki sposób?

- Dam panu przykład. Jest powiat Chrzanów, porządny, robotniczy. Nie ma band, jeśli są, to kryminalne, nie polityczne, nie ma przeciwników - co prawda tworzy się PSL, ale nie jest on tutaj groźny dla władzy - no, ale jest urząd bezpieczeństwa, liczący około 40 osób. Ja byłem w nim kierownikiem grupy do walki z bandytyzmem, a ponieważ bandy były tylko kryminalne, więc właściwie zajmowałem się tym, czym policja kryminalna. Innych oddziałów zbrojnych - WiN, NSZ czy BCh - nie było na moim terenie. Ale przecież jest odgórny kierunek - zwalczać. I jak będzie wyglądał taki powiatowy urząd, który nie ma żadnych wyników?

- Co się wtedy robi?

- Po prostu: aresztuje się byłych oficerów AK, którzy ujawnili się i rozpoczęli spokojne, normalne życie, montując z nich grupę konspiracyjną. Osobiście tego nie robiłem, bo zajmowałem się, jak mówiłem, bandytyzmem, ale robił to mój urząd i ja do dziś mam z tego powodu wyrzuty sumienia. Co prawda po pół roku zwolniono aresztowanych, nie pozwoliliśmy ich wywieźć do Związku Radzieckiego, tym niemniej do statystyki wpisano, że na terenie powiatu chrzanowskiego zatrzymano, dajmy na to, dwudziestu dwóch przeciwników. I jak teraz zsumuje pan wszystkie powiaty, będzie pan miał skalę zjawiska.

W ten sposób z ludzi, którzy nie byli gorliwymi zwolennikami nowego ustroju, ale myśleli, że może się wszystko jakoś ułożyć, zrobiliśmy naszych wrogów. Uważam, że to było główne przestępstwo polityczne naszych władz w pierwszych latach: masowe produkowanie wrogów. Sądzę, że więcej niż połowa naszych przeciwników to ci, których sami sobie zrobiliśmy.

- Kogo pan obwinia za to przestępstwo? Kto był odpowiedzialny za wydawanie instrukcji, według których pańscy towarzysze z urzędów bezpieczeństwa produkowali wrogów, niszcząc jednocześnie tysiące istnień ludzkich?

- Odpowiedzialność tę trzeba podzielić. Główna odpowiedzialność spoczywa na naszych władzach najwyższych, konkretnie na ludziach z PKWN. Ci, którzy tam byli, nie mogą tłumaczyć się tym, że nie mieli wpływu. To nie powinni zasiadać w tej władzy! Mój pogląd jest taki, że jeśli byłeś w rządzie, to odpowiadasz. Uważam, że ci, którzy mieli wówczas władzę największą - Bierut, Gomułka, Osóbka-Morawski - odpowiadają za wszystko. Oczywiście trzeba brać pod uwagę i to, że był Stalin, Beria, że stały wojska radzieckie, ale twierdzą, że mimo wszystko można było zredukować działalność represyjną przynajmniej o połowę, gdyby nie ten mechanizm produkowania wrogów. Ale odpowiedzialność spoczywa też na wykonawcach, na całym aparacie represji. Nie można nas od tego zwolnić.

Niemalą odpowiedzialność ponoszą także ci z obozu przeciwnego, którzy w kraju lub z zagranicy podsycali nienawiść, przekonywali o zbliżającej się wojnie między Zachodem a Wschodem, nawoływali do zbrojnego oporu.

- Czy, pana zdaniem, szeregowy aparat bezpieczeństwa mógł mieć istotny wpływ na zmniejszanie lub powiększanie skutków tego zaprojektowanego przez „górze” mechanizmu represji? Czy można tu skutecznie zasłaniać się rozkazem czy niemożnością działania czegokolwiek na korzyść represjonowanych?

- Uważam, że co najmniej połowa odpowiedzialności spada na wykonawców. Oni przejawiali dużo inicjatywy, samodzielności, chęci wykazania się. Często było to ideowe, ale jeszcze częściej była to chęć zrobienia kariery na czyimś nieszczęściu. Być może „górze” dawała jakieś tajne rozkazy, których nie znam, ale oficjalnie „górze” zabraniała bić. A jednak bito, i to jak. Bili z własnej inicjatywy oficerowie śledczy, przyzwalałi na to naczelnicy, szefowie urzędów i dyrektorzy w ministerstwie, bili podoficerowie w aresztach i pułkownicy w gabinetach. Nie wolno dawać wiary tym, którzy mówią, że bili, bo taki mieli rozkaz. W Związku Radzieckim, jak czytałem ostatnio, 20 tysięcy oficerów NKWD rozstrzelano za niewykonanie rozkazu. U nas nie znam wypadku, aby kogoś sądzono za to, że odmówił bicia. Nie słyszałem nawet, by kogoś zwolniono za to z pracy. Mógł nie awansować, mogli go odsunąć od prowadzenia spraw, nawet zdjąć ze stanowiska za brak aktywności, ale na pewno nie poddano go jakimś dotkliwszym represjom. Ci, którzy bili, robili to głównie z własnej inicjatywy, podkreślam.

- Pan awansował i to dosyć szybko. Proszę wymienić kolejne swoje funkcje w aparacie bezpieczeństwa.
- Od stycznia 1945 r. pracuję w Chrzanowie. W styczniu 1947 r. zostaję powołany na stanowisko szefa Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa w Olkuszu. W 1949 r. zostaję zastępcą szefa Wojewódzkiego Urzędu w Krakowie, a w 1951 r. - szefem urzędu w Olsztynie. W 1952 r., po rozgonieniu „olsztyńskiej klikii”, przeniesiono mnie do Rzeszowa, a w 1953 r. wysłano z grupą wyższych oficerów bezpieczeństwa na roczny kurs do Moskwy. Mnie zrobiono szefem grupy. Po skończeniu tego kursu zostałem mianowany szefem Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa w Katowicach, potem komendantem wojewódzkim MO, mimo protestów milicji, a stamtąd w 1962 roku poszedłem na wiceministra.
- Jak liczna była to grupa?
- Około dwudziestu pięciu osób z całej Polski.
- Tylko czynni oficerowie bezpieczeństwa czy również tajni agenci?
- Tylko oficerowie.
- Co to był za kurs, jaki był jego program, czego was tam uczono?
- Były tam grupy z wielu krajów. Razem z nami uczyli się Chińczycy, Koreańczycy, Mongołowie, Czesi, Rumuni, Niemcy - można powiedzieć, międzynarodówka bezpieczeństwa, elita, która miała awansować. Większość rzeczywiście zrobiła potem kariery: Filipiak - wiceminister, Morawski - dyrektor departamentu, ja. Wykładowcami na tym kursie byli ci sami, którzy wykładali w szkołach dla radzieckich oficerów, mieliśmy też dużo spotkań z politykami. Nie analizowano spraw z poszczególnych krajów, tylko raczej omawiano doświadczenia radzieckie. Było to już po śmierci Stalina i rozstrzelaniu Berii, więc to, co mówili o represjach, było dla nas bardzo interesujące. Była to pierwsza próba krytycznej analizy działalności organów bezpieczeństwa. Pod wpływem tego myśmy się też zmieniali i wyjechaliśmy stamtąd inni niż przyjechaliśmy. My pierwsi informowaliśmy Warszawę o destalinizacji w ZSRR, o Berii i zmianach w KGB.
- Mimo to represje aparatu bezpieczeństwa w Polsce dalej się nasilały. Przecież w 1954 roku uwięziono kardynała Wyszyńskiego, zrobiono proces biskupowi Kaczmarskiemu, szykowano proces Gomułce i jego grupie, torturowano Lechowicza.
- To wynikało z inercji naszych organów, z obawy przed utratą władzy i własną odpowiedzialnością za łamanie prawa.
- Czy podczas tego kursu KGB werboowało swych agentów spośród oficerów bezpieczeństwa krajów satelickich?
- Wiem na pewno, że w czasie tego kursu i następnych nie werbowano. Oficjalnie radziecki wywiad i kontrwywiad werbował swoich agentów w Polsce tylko na samym początku, może do 1947 roku. Było to nielegalne, bez zgody władz, ale wielkie mocarstwo musiało przecież dbać o swoje interesy w podbitym kraju, w którym sytuacja nie była jeszcze wyjaśniona.
- Chce pan powiedzieć, że potem już nie musiało i nie dbało?
- Nic podobnego, tylko nie mam dowodów, że od roku 1948 taki werbunek nadal prowadzono. Natomiast w latach późniejszych poszerzyły się kontakty oficjalne, dzięki którym Związek Radziecki zdobywał wszelkie potrzebne informacje. Po co utrzymywać agentury, skoro można było iść do KC i dostać wszystko na półmisku.
- Czy te kontakty funkcjonowały w obie strony?
- Oczywiście, że tylko w jedną. Przedstawiciel grupy KGB przy ambasadzie radzieckiej w Warszawie szedł do MSW, do KC, do jednego wydziału, drugiego i dowiadywał się wszystkiego, czego chciał. Dzisiaj natomiast, kiedy wszystko się zmieniło, uważam, że Związek Radziecki zacznie werbować swoją agenturę u nas, i to na bardzo dużą skalę. Minister Kozłowski powinien się z tym liczyć.
- Czy w podobny sposób nasze służby zdobywały informacje w krajach ościennych?
- Myśmy, w przeciwieństwie do Związku Radzieckiego, nie werbowali współpracowników w żadnym kraju socjalistycznym. Nie mieliśmy tam swoich agentur, ale oczywiście staraliśmy się wiedzieć, co gdzie się dzieje, zwłaszcza tam, gdzie były jakieś punkty zapalne. Ale raczej na zasadzie kontaktów osobistych, koleżeńskich. Najtrudniej było uzyskać cokolwiek w Związku Radzieckim, oni byli najbardziej szczelni. Ale kiedy oni tworzyli u nas grupy operacyjne, myśmy, za ich zgodą i na zasadzie wzajemności, tworzyli takie grupy u nich. Takie grupy działały w Moskwie, Pradze, Berlinie. Niby oficjalnie zajmowały się naszymi obywatelami przebywającymi na tym terenie, ale jak się coś działo, to miały oczy i uszy otwarte. Uważam, proszę pana, że podstawowy błąd naszych ekip kierowniczych, włącznie z dzisiejszą, polega na tym, że nie doceniają wiedzy o tym, co się na Kremlu dzieje. Choćby właśnie rok 1953: Stalin nie żyje, Beria rozstrzelany, tam ludzi zwalniają masowo z więzień, a w Polsce aresztują.
- Namawia pan do werbowania agentów na Kremlu?
- Aż tak może nie, bo nie wolno narażać ludzi i narażać stosunków, natomiast trzeba zdobywać informacje, nachodzić, rozmawiać. Rząd, który nie wie, co się w Związku Radzieckim dzieje, jest marnym rządem. W interesie Polski leży, aby jej władze wiedziały, co dzieje się i co zamierza na zachód od Odry i na wschód od Bugu.
- Więc twierdzi pan, że ani w ZSRR, ani winnych krajach bloku nie mieliśmy agentów?
- Nie.
- A inne kraje komunistyczne u nas?
- Też nie.
- Ale czytał pan przecież, iż wschodnioniemiecka „Stasi” miała u nas swoich agentów, również wśród oficerów Służby Bezpieczeństwa, inwigilowała na własną rękę polską opozycję i przedstawicieli Kościoła. Podano nawet, w jaki sposób „Stasi” płaciła za usługi polskim oficerom SB: paczkami z żywnością. Szefem wywiadu ernerdowskiego MSW był pański przyjaciel, Markus Wolf, zwany przez pana pieszczołliwie Misza.
- Nie znam szczegółów i nie wiem, czy tak mogło być. Natomiast rzeczywiście znam bardzo dobrze Wolfa - to bardzo inteligentny człowiek i życzliwy Polakom. On był w wielkim konflikcie ze swoim szefem, Erichem Mielke, który uważał, że jeśli coś się źle dzieje w obozie socjalistycznym, to głównie przez Polskę. Ten dla odmiany był bardzo niechętny Polakom i gotów jestem uwierzyć, że mógł tu przysłać grupy operacyjne dla rozpracowania poszczególnych spraw. Mielke cały czas twierdził, że to Polska rozsądzi

kiedyś obóz, toteż na pewno nasyłał tu kupę swoich ludzi. On zwierzał mi się kiedyś: „Franciszku, ja już wiem, co Niemcy robią i co mówią. A teraz pracuję nad tym, by wiedzieć, co myślą”. To była główna troska ministra bezpieczeństwa państwowego.

- Zdaje się, że nie był on pod tym względem wyjątkiem. Wróćmy jednak do agentur Kremla w Polsce. Taką jak najbardziej jawną agenturą byli doradcy sowieccy przy wszystkich komórkach aparatu bezpieczeństwa, a także w wojsku, ale o tym niech opowie generał Jaruzelski. Jaka była rola tych doradców?

- Na początku działali oni we wszystkich urzędach powiatowych, wojewódzkich i w centrali ministerstwa bezpieczeństwa. W każdym powiecie był jeden doradca, w województwach po dwóch-trzech, a w ministerstwie jeden-dwóch w każdym departamencie. Z powiatów wycofano ich już w roku 1950, a w województwach i w centrali byli do roku 1956. Oni mieli służyć pomocą i konsultacją, nie prowadzili samodzielnie spraw, ale interesowali się, dawali wskazówki. W Olsztynie miałem za doradcę kapitana Tieplikowa, który głównie pił i zajmował się handlem. W Olsztynie doradcą był pułkownik Maslennikow, „dziadźka” chyba sześćdziesięcioletni - ja przecież młody wtedy byłem - jemu z kolei nie chciało się nic robić, przychodził rzadko, mało się interesował. W sumie nie przeceniałbym roli tych doradców. Oni byli zajęci swoimi sprawami i nie można w żadnym wypadku powiedzieć, że te wszystkie błędy, łamanie praworządności to przez nich. Za to całe zło przede wszystkim sami ponosimy odpowiedzialność - ludzie aparatu. Trzeba się do tego przyznać.

Protokół drugi

Warszawa, 11 lipca 1990 r., godz. 12:00-14:50

- Dlaczego aparat bezpieczeństwa stał się „państwem w państwie” i był nim również za Gomułki, który przed tym przestrzegał?

- Stosunek Gomułki do aparatu podzieliłbym na dwa etapy. Pierwszy to lata 1945-47, kiedy Gomułka zajmował się nim osobiście, a drugi to okres 1956-70. W pierwszym okresie Gomułka interesował się aparatem, przychodził, prowadził odprawy dla kadry - sam byłem na takiej w roku 1946. Po Październiku Gomułka, można powiedzieć, nie lubił aparatu, traktował go oschle.

- Czyli w latach 1945-47 Gomułka, a nie Berman, Radkiewicz i inni, był odpowiedzialny za wydawanie polskich patriotów z Delegatury Rządu i z dowództwa AK w ręce Moskwy?

- Nie, tego nie można powiedzieć. Gomułka był za tym, by polskie sprawy rozwiązywać we własnym zakresie. Ale niewiele mógł zdziałać, kiedy Armia Czerwona dokonywała aresztowań. Działo prawo siły. A Amerykanie w Niemczech nie robili, co chcieli?

- Polska nie była okupowanym krajem, który rozpoczął i przegrał wojnę, ale zwyciężym aliantem, zaś szesnastu przywódców Polski Podziemnej było zbrodniarzami jedynie w świetle zbrodniczego prawa sowieckiego.

- Gomułka dążył do tego, by tych szesnastu sądzono w Polsce, ale bez skutku. On zabiegał o to.

- A drugi okres Gomułki, którego ponad połowę spędził pan w gmachu przy Rakowieckiej?

- Gomułka miał już uraz do aparatu, nie doceniał go, pomniejszał jego rolę, ani razu nie przyszedł na Rakowiecką i raczej krytykował niż chwalił. Niech pan weźmie pod uwagę, że Radkiewicz od początku był członkiem Biura, a za Gomułki żaden minister spraw wewnętrznych nie był w Biurze Politycznym. Wszedł tam znów dopiero Kowalczyk za Gierka i tak to już dalej było aż do końca PZPR. Gomułka bał się też silnych osobowości na stanowisku ministra spraw wewnętrznych. Mógł już w 1956 roku wziąć Moczara, a wołał Wichę, który wiecznie trząsał się ze strachu. Mogłem ja zostać po odejściu Moczara, a został Światała.

- Czyli aparat rozrastał się wbrew Gomułce, bo przecież w jego czasach rozrastał się cały czas, by w 1968 roku osiągnąć stan, który, jak pan pamięta, nazwano „moczarstwem”.

- Każda instytucja ma tendencję do rozrastania się, zgodnie z prawem Parkinsona. Dotyczy to każdej bez wyjątku instytucji. Niech pan utworzy w bezpieczeństwie stanowisko do spraw pogody, to za jakiś czas ten człowiek panu udowodni, że potrzebny jest cały referat albo wydział do tych spraw. Oczywiście, osobiste ambicje polityczne Moczara miały też znaczenie.

- Czy takie spektakularne sprawy, jak wykrycie owego zamachowca, który między innymi nastawał na życie Gomułki, nie przełamały jego nieufności wobec aparatu?

- Nie sądzę. On nigdy nie wracał do tej sprawy.

- Opisuje ją pan obszernie w swoich wspomnieniach, ale wiele razy zatrzymuje się pan w pół zdania. Nie podaje na przykład nazwiska zamachowca. Nie pamięta pan?

- Pamiętam, ale nie chciałem podawać, bo to jest bardzo porządna rodzina.

- Nie podaje pan też, co się z nim stało.

- Dostał wyrok śmierci i został powieszony.

- Czy taki finał wynikał z „prestizowego” charakteru sprawy?

- Powiedziałem już, że ani sam Gomułka, ani nikt z kierownictwa nie naciskał, nie sugerował, myśmy też nie naciskali na sąd ani na wyrok.

- Sąd jest przecież niezawisły, w jaki sposób SB mogłaby go naciskać?

- Proszę pana... no, może nie naciskać, ale można było perswadować lub w inny sposób przekonywać. Sądy są niezawisłe, ale zawsze istnieją różne formy dogadania się. Niech pan nie wierzy, że tak nie jest. Ale w tym przypadku nie musieliśmy naciskać. To była inicjatywa własna sądu. Bano się, że przy innym wyroku on za jakiś czas wyjdzie i może znowu coś zmontować. Trzeba było go wyeliminować ze społeczeństwa.

- Panie generale, nawet w stosunku do wielokrotnych zabójców istnieją ogromne opory przed stosowaniem zasady „śmierć za śmierć”. A tutaj przecież nikomu włos z głowy nie spadł. Jak można człowieka „eliminować ze społeczeństwa” na wszelki wypadek?!

- Dobrze pan pyta, bo tu faktycznie nikt nie zginął, byli tylko ranni. Gdyby ktoś zginął, to byłaby uzasadniona kara śmierci.

- Uzasadniona, mówi pan. Jest pan zwolennikiem zabijania w imię prawa i pod nazwą kary śmierci?

- Może źle się wyraziłem. Mój stosunek do kary śmierci jest taki, że trzeba ją w konkretnym czasie rozpatrywać. Uważam, że w takich czasach jak obecne, gdy nie ma gwałtownych napięć i zaburzeń, kiedy nie trzeba na społeczeństwo oddziaływać wstrząsem, trzeba by karę śmierci znieść. Natomiast nie wykluczam, że w takich sytuacjach jak wojna domowa, poważne niepokoje, kara śmierci powinna być i działać ochładzająco. Niech pan popatrzy, gdyby na przykład w Kielcach, podczas pogromu Żydów w czterdziestym szóstym roku, wojsko użyło broni w obronie tych ludzi i nawet gdyby ktoś tam zginął, jedna czy dwie osoby, nie doszłoby do takiej masakry i uratowano by od śmierci kilkadziesiąt osób. Ale generalnie jestem przeciwny skazywaniu na śmierć, a już zwłaszcza w sprawach politycznych. Natomiast uważam, że ludziom skazanym na długoletnie wyroki, którzy nie widzą żadnej perspektywy dla swojego życia, powinno się stwarzać możliwość odejścia z tego świata na własne życzenie.

- A ile zapadło wyroków śmierci w sprawach politycznych, które pan prowadził?

- Kilka zapadło, ale nie w sprawach politycznych, a bandyckich.

- Wtedy „bandami” zwano wszelkie grupy podziemne, również te, które walczyły z komunistyczną władzą jedynie za pomocą ulotek.

- Oczywiście. Ale były i grupy typowo kryminalne. A najczęściej było mieszanych, co do których nie wiadomo było, czy charakter kryminalny przykrywa działalność polityczną, czy na odwrót. I właśnie w jednej takiej sprawie, w której osobiście brałem udział, zapadły chyba trzy wyroki śmierci, ale dlatego, że oni wymordowali dużo ludzi, działaczy, komunistów. Te wyroki, uważam, były zasadne. Natomiast żeby nie było wątpliwości: jestem zdania, że po roku 1947 w Polsce nie powinny już zapadać wyroki śmierci, bo nie służyło to stabilizacji życia kraju.

- A służyły stabilizacji życia kraju takie fakty, jak sfalszowanie referendum albo pierwszych wyborów? Brał pan w tym osobiście udział?

- W żadnym fałszowaniu referendum nie brałem udziału, bo na moim terenie, w robotniczym Chrzanowie, nikt nie musiał niczego fałszować. Na te trzy pytania robotnicy odpowiadali zgodnie z klasowym interesem i nie trzeba było nic poprawiać. Zresztą myśmy nie siedzieli w komisjach, ochranialiśmy lokale do głosowania, a liczył kto inny. Natomiast uważam, że sfalszowanie wyników wyborów w 1947 r. było wielkim błędem politycznym. My byśmy wtedy, to znaczy PPR, zdobyli uczciwie jakieś 30 procent głosów, bo takie były wtedy nasze realne wpływy w społeczeństwie. Wszlibyśmy demokratycznie do rządu i zachowali teki obrony, bezpieczeństwa, spraw zagranicznych, a więc rzeczywista władza nadal należałaby do nas. A nie musielibyśmy brać odpowiedzialności za gospodarkę, rolnictwo, transport. Może ktoś inny miałby lepsze wyniki. Jaki byłby komfort rządzenia.

- Tak było w Czechosłowacji, ale ten komfort nie trwał długo. Już w 1948 r. Moskwa urządziła „powstanie ludowe”, które obaliło „burżuazyjno-drobnomieszczański rząd” i przejęło „całą władzę w ręce rad”. Nie kijem go, to sierpem i młotem.

- Uważam, że Moskwa nie posunęłaby się do tak bezpośredniej ingerencji w sprawy polskie, jak zrobiła to w Czechosłowacji, na Węgrzech, w NRD, później w Afganistanie. W tych małych państewkach mogła sobie na to pozwolić, ale już nie posunęła się do interwencji w Jugosławii czy Rumunii. Polskę Stalin w ogóle traktował na specjalnych zasadach. Nie udało mu się skolektywizować u nas rolnictwa ani podporządkować Kościoła, nie skazano Gomułki i w ogóle wszystko przebiegało łagodniej. Moskwa nie interweniowała ani w 1956, ani w 1970, ani w 1980 czy 1981. Mam na to dowody.

- Jakie?

- Rozmawiałem z Markusem Wolfem, szefem wywiadu NRD. Zaprosił mnie na obiad i byłem u niego, zresztą za wiedzą ministra spraw wewnętrznych - był nim wtedy generał Milewski - który nawet dał mi samochód. Zapytałem go wtedy: „Misza, wejdą?” „Nie, możecie być spokojni, wiem to z pewnych źródeł. Oni mają dość kłopotów w Afganistanie, a nigdy nie lubili prowadzić wojny na dwa fronty.” Misza Wolf miał zawsze bardzo dobre informacje.

- Wróćmy do czasów wcześniejszych i do kwestii „państwa w państwie”. Czy przyjmuje pan zarzut, że i pan przyczynił się do poszerzenia granic owego „mocarstwa”?

- Do tak ogólnikowego zarzutu trudno mi się odnieść.

- Więc po kolei. W roku 1962 został pan wiceministrem spraw wewnętrznych, praktycznie pierwszym zastępcą ministra.

- Tak.

- Wspomina pan w swoim pamiętniku, że zaraz po przyjeździe zażądał pan swoich teczek. Przyniesiono panu dwie: personalną i operacyjną. W tej drugiej były materiały „na pana”.

- Zgadza się.

- Ile takich teczek z materiałami „na kogoś” było w resorcie w chwili pańskiego przyścia, a ile gdy pan stamtąd odchodził w roku 1972?

- Trzeba wyróżnić teczki, które zakładano na mnie i na podobnych. Robiły to specjalne służby. Aparatem partyjnym zajmował się X Departament, a ludźmi z aparatu bezpieczeństwa - Biuro do Spraw Funkcjonariuszy. Sądzę, że w tym biurze takich teczek jak moja było dość sporo. Były w nich różne materiały: polityczne, o nadużycia, o różne wykroczenia, naruszanie praworządności. Myślę, że co drugi szef urzędu bezpieczeństwa miał jakąś teczkę. Była w tym pewna metoda: mającym teczki bardziej ufano niż tym, którzy ich nie mieli. To pochodziło jeszcze od Berii, który bardziej ufał ludziom mającym coś na sumieniu. Mógł mieć ich bardziej w rękach, po prostu. Typowy był przykład Radkiewicza, który złożył na ręce Gomułki oświadczenie, że w roku 1936 jako sekretarz generalny KZMP został w śledztwie złamany przez oficerów „dwojki” i zadeklarował im rezygnację z działalności komunistycznej. Po aresztowaniu Gomułki oświadczenie to znalazł w trakcie rewizji Światło i zaniósł Bierutowi. W ten sposób Radkiewicz stał się bezwolnym narzędziem w rękach Bieruta, co było jednym z głównych powodów wynaturzeń tego okresu. Podobną deklarację złożył Wicha w 1937 roku.

- Zasada - więcej ufać tym, którzy mają teczki - nie dotyczyła jednak ludzi spoza resortu, tych, którzy byli przedmiotem waszych zainteresowań. Myślę o teczkach zakładanych normalnym ludziom. Ile tego było?

- Zainteresowałem się tym bliżej w Olsztynie, kiedy byłem w latach 1951-52 szefem WUBP. Tam swoją teczkę miał co piąty

obywatel województwa. Ponadto w okresie kolektywizacji zaczęto tworzyć teczki „na gminę”. W każdej były 53 formularze i do nich wpisywało się dosłownie wszystko: ludzi pozytywnie nastawionych do spółdzielczości, negatywnie, obojętnych, wrogich, tajnych współpracowników, konie, traktory, kury, hektary, studnie, obory - zwiariować było można. Kto nie pracował w resorcie bezpieczeństwa, ten nie wie, co to znaczy biurokracja. To była potworna fabryka przerabiania papieru, służąca atomizacji społeczeństwa.

- Ile osób zatrudniała ta fabryka?

- To się stale zmieniało. Od samego początku, czyli od 1944 roku, aż do 1947, organy bezpieczeństwa stale rozbudowywano ilościowo, głównie na terenach wiejskich, gdzie działały bandy i PSL. Po wyborach napływ ludzi ograniczono, a nawet zwalniano. W roku 1949 pojawiły się tezy o zaostrzeniu walki klasowej, o odchyleniu pravicowo-nacjonalistycznym „im wróg słabszy, tym niebezpieczniejszy” i pod hasłem wzmoczenia czujności znowu zaczęto rozbudowywać, ale bardziej w miastach. Interesowano się intensywnie inteligencją, zakładano referaty ochrony w zakładach przemysłowych - był to potężny rozrost, trwający do 1953-54 roku. Potem nastąpiły cięcia, podział, połączenie i znowu to się zaczęło rozrastać, ale już nie do tych rozmiarów. Przypuszczam, że we wszystkich placówkach, komórkach i na wszystkich szczeblach aparatu bezpieczeństwa -- bez KBW i WOP, bo to było wojsko, chociaż podporządkowane pracowało w szczytowym okresie ok. 100-150 tysięcy ludzi. Bez tajnych współpracowników - samych pracowników etatowych.

- Jakie kategorie ludzi znajdowały się pod szczególnym nadzorem tej ogromnej fabryki?

- Ogólnie mówiąc, wszyscy niebezpieczni dla ustroju. Nie dla państwa, niech pan zauważy, ale dla ustroju, a to jest pojęcie bardzo rozciągliwe. Myśmy przecież służyli określonej idei, w rocie przysięgi mieliśmy wierność socjalizmowi i PZPR.

- Niebezpieczni dla ustroju, to znaczy?

- Na przykład wszyscy oficerowie i podoficerowie AK, oficerowie i podoficerowie Andersa, przedwojenni policjanci, członkowie NSZ, uczestniczący w działalności podziemnej. Wszyscy oni byli w ewidencji, a większość z nich miała jeszcze teczki.

- A kiedy wprowadzono zasadę rejestrowania i prowadzenia teczek na wszystkich księży?

- Od samego początku, jak tylko powstały organy bezpieczeństwa, Kościół był przedmiotem ich zainteresowania jako główna siła opozycji. Był okres, że zakładano teczki tylko na tych księży, co do których istniały dowody albo podejrzenia, że występują wrogo albo uczestniczą w nielegalnej działalności. Na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, kiedy zaczęły się zaostrzać stosunki z Kościołem, zapadła decyzja, aby ewidencjonować wszystkich księży. Każdy miał swoją kartę, a dla większości założono również teczki ewidencyjne. Ale tam przeważnie były tylko materiały o charakterze personalnym, a nie obciążającym, bo do większości księży nie było pretensji.

- Po diabła więc to wszystko było potrzebne?

- To było potrzebne chociażby po to, ażeby wiedzieć, ilu tych księży jest, jaki jest ich przekrój społeczny, więc do badań socjologicznych było to bardzo potrzebne.

- MSW zajmowało się badaniami socjologicznymi?

- Analizami sytuacji społecznej, prognozami, do których takie dane były potrzebne. Przedtem nawet nie wiedziano, ile tego jest.

- Księży?

- Tak, ilu jest księży. Założyliśmy pełną kartotekę wszystkich księży, tak samo jak akowców, andersowców.

- Co było w kartach tej kartoteki?

- W kartach raczej tylko dane ewidencyjne.

- A w teczkach?

- Ankiety personalne, charakterystyki, prace księży, ich artykuły naukowe, publicystyczne, takie mniej obojętne. To trafiało do tych teczek. Ale jeżeli ksiądz nie angażował się w nic, to teczki nie miał, a tylko samą kartę.

- Czy księża byli jedyną grupą zawodową objętą pełną ewidencją w waszej kartotece? Bo nie byli grupą zawodową akowcy czy andersowcy.

- Jeśli chodzi o grupę zawodową, to księża byli jedyną w owym czasie.

- A później, na przykład w okresie „Solidarności”?

- Co było później, tego nie wiem.

- Jeżeli pan nie wie, to mogę panu powiedzieć, że w roku 1981 pełną ewidencją objęto wszystkich dziennikarzy, nawet jeszcze pełniejszą niż księży, bo wszyscy mieli teczki. Dwa razy pisałem do MSW, żeby dali mi moją na pamiątkę, bo po co ma tam zajmować miejsce, ale bez skutku. Może ma pan tam jeszcze znajomości i mógłby mi pomóc wyciągnąć ją stamtąd?

- Nie, teraz już byłoby to raczej trudne.

- Gdzie ewidencjonowano tych wszystkich wrogów ustroju?

- Każdy, kto kiedykolwiek stał się obiektem zainteresowania organów bezpieczeństwa, miał swoją kartę w centralnej kartotece ministerstwa, czyli w Biurze „C”. Najpierw była to klasyczna kartoteka, zatrudniająca wiele pań, w latach siedemdziesiątych zaczęto ją automatyzować, i teraz podobno jest w pełni skomputeryzowana, ale ja tego już nie widziałem, bo nie byłem tam.

- Ile kart było tam w latach siedemdziesiątych, gdy jeszcze pan tam bywał?

- Można powiedzieć - miliony. Kiedy przyszedłem na Rakowiecką, kazałem zniszczyć wiele kart, np. „Francuzów”, bo był tam Gierek, Grudzień, Wojtaszek, późniejszy minister. Okazuje się - nie zniszczyli. Porobili z tego mikrofilmy.

- Jak pan zareagował na taką niesubordynację szefa kartotek? A może nie miał pan w stosunku do niego żadnej władzy?

- Ja byłem wtedy tylko wiceministrem. Może on radził się jeszcze kogoś - nie wiem. Ogólnie uważam, że aby raz na zawsze skończyć ten problem, obecny rząd i minister powinni kazać zniszczyć wszystkie teczki. Tak jak zrobili to Hiszpanie, Portugalczycy czy Niemcy, wyzwalając się z totalitaryzmu. Zniszczyć i zamknąć sprawę. Boję się, że jeżeli tego nie zrobią, wpłynie to na ich psychikę tak samo, jak wpływało na wszystkie kolejne ekipy.

- A ile teczek sam, osobiście, kazał pan złożyć?

- Wydawałem takie polecenia, ale kogo personalnie dotyczyły, nie mogę powiedzieć. Z tym że u nas nie mówiło się „teczka”. Mówiło się „zainteresowanie”. Takim a takim trzeba by się zainteresować. W wyniku tego powstawała teczka.

- Kto mógł wydawać tak niezwykle kulturalnie sformułowane polecenia?

- Takie prawo mieli: wicedyrektor, dyrektor, czasem niektórzy naczelnicy, no i kierownictwo.

- Często korzystali z tego prawa?

- To cały czas miało tendencję do rozszerzania się. Z wyjątkiem takich okresów, jak pięćdziesiąty szósty, gdy stosowano drastyczne cięcia, ta hydra zawsze odrastała. Myślę, że ten aparat, który teraz się tworzy - Urząd Ochrony Państwa - po kilku latach znów stanie się wielki. Wspomni pan moje słowa.

Uważam, że ten stan, jaki był w latach sześćdziesiątych, powinien zostać i ulegać stopniowemu ograniczeniu, a nie poszerzeniu.

Natomiast twierdzę, że powinno się przynajmniej potroić milicję, a zwłaszcza podstawową kadre - kaprali, plutonowych, sierżantów. Na każdym rogu powinien stać milicjant, żeby było do kogo zwrócić się o pomoc. Ale milicja zawsze była niedoceniana i przegrywała z bezpieczeństwem walkę o etaty, środki, samochody, o wszystko.

Milicję, czy policję, powinno się raz na zawsze oddzielić od służby bezpieczeństwa czy Urzędu Ochrony Państwa, który powinien stanowić odrębny urząd podległy premierowi - mały, sprawnie działający, elitarny, dobrze opłacany. A minister spraw wewnętrznych powinien mieć pod sobą straż pożarną i policję, która nie powinna być mieszana do żadnej polityki. Ja bardzo dobrze życzę panu Krzysztofowi Kozłowskiemu, ale znam ten mechanizm: po pół roku będzie on zajmował się tylko bezpieczeństwem.

Będzie patrzył, kto tam co przeciwko panu Wałęsie powiedział, na pana premiera kto naskoczył. I nie zadba o milicję, straż, porządek. Bo to będzie silniejsze od niego. Dlatego na Zachodzie z zasady nie łączą tych dwóch służb.

- Czy te polecenia „zainteresowania się kimś” oraz inne decyzje kierownictwa MSW wynikały zawsze z dyspozycji politycznych, jakie przekazywano z Nowego Świata na Rakowiecką, czy też resort prowadził w tym względzie własną politykę?

- Praktycznie w każdym kraju, może poza bardzo małymi, istnieje tajna policja, a tajność jest jej siłą. A więc wszędzie, gdzie ten aparat jest stosunkowo duży, stanowi on samodzielną siłę polityczną. On wykonuje dyspozycje, ale ma dość duży - raz większy, raz mniejszy - zakres swobody w podejmowaniu własnych decyzji. Przecież sama tylko zbiorowość kilkunastu czy kilkudziesięciu tysięcy zorganizowanych ludzi już stanowi siłę polityczną, a co dopiero ludzie wyposażonych we władzę. Dlatego i decyzje - kim się zainteresować, kogo rozpracować, jakie informacje zbierać - często zapadały w samym resorcie.

- Kto podjął decyzję zrobienia sprawy Kuroniowi i Modzelewskiemu za ich memoriał do władz? Wy czy „Biały Dom”?

- To była decyzja Biura Politycznego albo Sekretariatu KC. Kierownictwo partyjne zawsze było oburzone memoriałami wychodzącymi z lewicy, od swoich ludzi. Bardziej tolerowali prawicowych przeciwników politycznych.

- A Michnikowi i innym „komandosom”?

- Tak samo.

- Wańkowicz, „taternicy”, grupa „Ruch”, mijalowcy?

- Też. O tym wszystkim decydowano w KC. Myśmy, jako to bijące serce partii, musieli realizować to, co tam wymyślono. Rządzili nami sekretarze i Biuro Polityczne, a nie rząd. Zresztą nie trzeba nam było wydawać konkretnych poleceń. Wystarczyło, że na Biurze, posiedzeniu Sekretariatu czy na plenum I sekretarz powiedział, że na przykład mamy złą sytuację w środowisku nauki, pojawiają się rewizjoniści, szerzą niepokoje - i nam nie trzeba było mówić, co mamy robić. Bo z tego wynikał prosty wniosek, że trzeba się zająć.

Dyspozycje generalne pochodziły więc od władz partyjnych, bardzo rzadko państwowych, a w takich sprawach jak katastrofa, zamach, zabójstwo, pobicie czy ulotki żadnych wytycznych nie trzeba było nam dawać, bo sami wiedzieliśmy, co robić.

- W jakich przypadkach sprawami czysto kryminalnymi, takimi jak właśnie zabójstwo czy pobicie, zajmowała się Służba Bezpieczeństwa?

- Wtedy, kiedy było podejrzenie, że może to być sprawa polityczna - jak np. zabójstwo Gerharda - albo wtedy, kiedy sprawa była bardzo skomplikowana, ponad siły milicji, albo wymagała szerokich działań operacyjnych, do których SB jest lepiej przygotowana.

- Co to są „działania operacyjne”?

- Wszystkie tego typu służby na świecie prowadzą dwa systemy działań. Jeden to system dochodzenia i śledztwa, którymi rządzi prawo: kodeks karny, kodeks postępowania karnego, i tę działalność nadzoruje prokurator. Zajmują się nią pionierzy śledcze. System drugi, znacznie bardziej rozbudowany, to działalność operacyjna. Nie jest ona regulowana przez prawo, przynajmniej u nas w Polsce, ale powinna mieścić się w granicach prawa. W praktyce jednak przez całe 45 lat była oczywistym łamaniem zasad konstytucji. Gwarantuje ona, przykładowo, tajemnicę korespondencji, podczas gdy myśmy mieli całą rozbudowaną służbę, departamenty zajmujące się naruszaniem tajemnicy korespondencji.

- Miło słyszeć, od najbardziej kompetentnej osoby, potwierdzenie tego, o czym wszyscy wiedzieli. Jakie inne prawa konstytucyjne były systematycznie gwałcone przez MSW?

- Zaczęło od początku, od definicji. Pracą operacyjną nazywa się działania tajne i poufne, zmierzające do ustalenia i wykrycia przeciwników państwa, a w praktyce chodziło o przeciwników ustroju, socjalizmu, co niepomiarnie rozszerzało zakres zagadnienia. Podstawowymi instrumentami tych działań są: tajni współpracownicy, tajna obserwacja, podsłuchy i podglądy oraz przegląd korespondencji. Do tych celów stworzone były całe pionierzy. Chcę powiedzieć, że na całym świecie policja stosuje takie metody. Ale wszystko zależy od tego, w jakim celu, w jakim zakresie i z jakimi skutkami.

- W jakim celu, w jakim zakresie i z jakimi skutkami bezpieka werbowała konfidentów?

- U nas w Polsce zaczęto werбовать tajnych współpracowników już w 1944-45 roku. Myśmy jeszcze wtedy nie mieli doświadczeń w tym zakresie, więc werbowaniem zajmowali się początkowo oficerowie radzieccy, którzy pracowali w naszych organach bezpieczeństwa.

- Jako Polacy?

- Oficerowie NKWD z pochodzenia Polacy czasowo oddelegowani do pracy w Ministerstwie BP. Werbowali także ci pracownicy

ministerstwa, którzy jeszcze przed 22 lipca 1944 r. przeszli przeszkolenie w ZSRR.

Oni więc werbowali na początku tajnych współpracowników, bo myśmy raz, że nie umieli tego robić, a dwa - mieliśmy duże opory. Uważano, że to jest nieszlachetne, nieetyczne, brudne po prostu. Dla wielu oficerów ówczesnego bezpieczeństwa było to powodem konfliktu wewnętrznego. Odchodzili nawet z pracy, bo nie chcieli opierać się na tajnych współpracownikach.

- **Czy przez cały czas nazywano ich w ten sposób?**

- Na początku obowiązywała terminologia „agent” i „informator”, która przysłała ze Związku Radzieckiego. Agentami nazywano tych, którzy byli wysoko uplasowani w różnych środowiskach, efektywni i na ogół płatni, a informatorzy po prostu informowali o rozmaitych zewnętrznych zjawiskach. Muszę powiedzieć, że w pierwszych latach radziecki wywiad i kontrwywiad zwerbował wielu agentów i miał doświadczenie bardzo wysoko, do sztabów organizacji podziemnych i legalnej opozycji.

- **Nie pojmuję, w jaki sposób mogli skutecznie werbować Polaków do współpracy przedstawiciele obcej, wrogiej, okupacyjnej siły.**

- A z Niemcami nie współpracowali? A to był jeszcze większy wróg. Nie każdy na to szedł, ale wielu poszło, z różnych przyczyn. Tego aresztowali, tamtego wypuścili, innemu coś obiecali.

- **Czy w taki sam sposób - zamykaniem, szantażem, obietnicami - werbowano i później współpracowników, już własnymi siłami?**

- Myśmy sami zabrali się do tego po 1947 r. Najwięcej werbowano w okresie masowego zakładania teczek. Na terenie Olsztyńskiego, gdzie pracowałem w tym okresie, była taka idea, żeby w każdym obiekcie, w każdej miejscowości, w każdym ugrupowaniu czy środowisku mieć informatora. Takich informatorów mieliśmy wtedy ponad 10 tysięcy. Trwał swoisty „wyścig pracy” w werbowaniu informatorów. Kto zwerbował więcej, był chwalony i nagradzany, kto miał mniej, starał się nadgonić.

- **To dawało chyba okazję do nadużyć, do fikcji, do wpisywania „martwych dusz”.**

- Oszustw było co niemiara. Stworzył się cały mechanizm oszukiwania resortu przez samych jego pracowników. Fałszowali spisy informatorów, sami pisali informacje od fikcyjnych agentów, podpisywali im koledzy, siostra, szwagier - powstał cały mechanizm oszustwa. Sądzę, że więcej niż jedna trzecia informatorów to była lipa. Kiedy w 1956 r., gdy byłem w Katowicach, przysłała decyzja, by zniszczyć wszystko, co niepotrzebne, przejrzelśmy teczki tajnych współpracowników i zniszczyliśmy chyba 20 tysięcy teczek. Potem te werbunki były już rzadsze, mniej werbowano, ale bardziej pewniaków, po czym w latach siedemdziesiątych, a zwłaszcza osiemdziesiątych, jak mi mówiono, znów nastąpiła tendencja do poszerzania werbunków.

Spytał pan, na jakich podstawach werbowano. Były trzy główne podstawy werbowania: uczucia ideowe, opłata i materiały kompromitujące.

- **Uczucia ideowe? Można mówić o czymś takim w przypadku konfidentów?**

- Oczywiście. Wielu ludzi wierzyło w socjalizm, zwłaszcza na początku. Uważało, że trzeba nam pomagać, że to jest potrzebne. Powiem panu, że werbunków na tej podstawie była większość, jakieś 60-70 procent. Płatnych było jakieś 10-15 procent - umawialiśmy się po prostu, że będziemy komuś płacić za informacje, jednym regularnie, innym nieregularnie, a reszta to ci, na których były materiały kompromitujące. Złapano kogoś na czymś, nie chciał siedzieć albo mieć kłopotów, szedł na współpracę.

- **Na przykład, jak ktoś spowodował kraknę po pijanemu i nie chciał stracić prawa jazdy?**

- Na przykład. Oczywiście nie każdy szedł na współpracę i nie każdy, kto się zgodził, informował, ale ten mechanizm szantażu istniał. Tak było, tak będzie, dopóki będzie istnieć policja.

- **Czy w tej grupie mieścił się również szantaż paszportowy?**

- Tak, w tej trzeciej grupie mieścił się cały mechanizm szantażu i łamania ludzi.

- **Ile na ogół płacono informatorom płatnym?**

- Bardzo różnie i nie zawsze były to pieniądze. Często załatwiano im na przykład przydziały na maszyny, samochody, działki, mieszkania. A w gotówce były to różne sumy. W ministerstwie niektórym agentom płacono bardzo dużo, ale w terenie nie były to wielkie sumy. I nie płacono regularnie, ale za wyniki przy różnych okazjach: na urodziny, święta, czasem dawano podarki.

- **Czy w budżecie resortu były na to wydzielone konkretne fundusze?**

- Był wyodrębniony fundusz operacyjny i z niego to szło. Ale ogólnie była to bieda i ubóstwo w porównaniu z tym, co choćby przed wojną płać policja agentom wśród komunistów. To było tyle, że dom można było wybudować. Bez porównania więcej płać policja amerykańska, francuska, austriacka. U nas - można powiedzieć - było to wręcz dziadostwo.

- **Kiedy był pan ministrem, ilu tajnych współpracowników mieliście w całym kraju?**

- W skali kraju mogło być około 20-30 tysięcy.

- **Czy wtedy, na początku lat siedemdziesiątych, nadal „ideowi” stanowili większość?**

- Nie, tych było wówczas około 30 procent, połowę albo trochę więcej stanowili zwerbowani na podstawie szantażu, a reszta to płatni.

- **Jaki był pożytek z tej armii konfidentów?**

- Słuszne pytanie, bo sama liczba nie mówi wszystkiego. Można było przecież kogoś zwerbować, posyłać na kontakty, ale on niczego konkretnego nie przynosił: nic się nie zdarzyło, niczego się nie dowiedział, kręcił, nudził i trzeba było z niego zrezygnować. Ale byli i ludzie, którzy, powiedziałbym, w naturze mają potrzebę donoszenia. Taki skarżył na kolegów w przedszkolu i w szkole i będzie donosił całe życie: jak nie do MSW, to dyrektorowi przedsiębiorstwa. W czasie, kiedy byłem wiceministrem i ministrem, takich, którzy sami zgłaszali się do współpracy z potrzeby donoszenia, było jakieś 20 procent wśród wszystkich zwerbowanych. Przyznam się panu, że mnie osobiście to przerażało - ile w Polakach tkwi zawiści i chęci bezinteresownego szkodenia drugiemu.

- **Jaką wartość miały te donosy?**

- Do wszystkich tych materiałów należało podchodzić bardzo ostrożnie. Bardzo dużo było naciąganych. Ktoś w sytuacji trudnej podpisał zobowiązanie do współpracy i potem albo wymyślał różne rzeczy, albo naciągał, żeby się wywiązać i nie ponieść konsekwencji.

- **Jak wyglądało takie zobowiązanie do współpracy? Czy był to specjalny formularz?**

- Na ogół dążono, żeby werbowany sam, pod dyktando, napisał taką formułkę, cytuję z pamięci: „ja, taki i taki, zobowiązuję się do współpracy z organami bezpieczeństwa i do informowania ich o wrogiej działalności, fakt ten utrzymam w tajemnicy, a doniesienia będę podpisywał pseudonimem takim i takim”. I takie zobowiązanie gdzieś tam jest, i nawet jeśli on nikomu nie zaszkodził, to ma w zyciorysie tę skazę. Jeśli nawet już nie żyje, to jest jego rodzina, rodzina konfidenta. Dlatego trzeba to wszystko zniszczyć, spalić, zetrzeć tę całą hańbę donosicielstwa.

- Co mogło grozić współpracownikowi, który podpisał zobowiązanie pod presją, a potem robił wszystko, by nie informować: kluczył, unikał albo wprowadzał w błąd, pisał bzdury z sufitu?

- Jeśli na kogoś były mocne materiały kompromitujące, można było zrobić mu sprawę. Jeśli nie, można go było z pracy usunąć, paszportu nie dać, poddać kłopotliwym naciskom, rewizję zrobić. Po to zresztą było zobowiązanie, żeby w razie czego zagrozić - ujawnimy.

- Kto miał prawo werbować tajnych współpracowników?

- Wszyscy pracownicy operacyjni.

- A kto od współpracowników odbierał informacje?

- Ci sami, oni już pracowali razem na bieżąco.

- Czyli praktycznie nie było nad nimi żadnej kontroli. Współpracownik mógł informować oficera SB o groźbie inwazji Marsjan, ten meldować swoim przełożonym o rozpracowywaniu groźnej grupy, a ci z kolei przesyłać to dalej.

Powstawała piramidalna bzdura, opłacana z pieniędzy podatników, bo przecież ten oficer mógł płacić informatorowi za rewelację z Marsa albo mówić swoim przełożonym, że płaci z owego funduszu operacyjnego.

- Dotyka pan istotnej kwestii. W latach sześćdziesiątych analizowaliśmy efektywność działania tajnych współpracowników i okazało się, że tylko około 15 procent naprawdę informowało. Reszta nie informowała albo dawała rzeczy bez wartości.

- Ale pieniądze brali, albo może jeszcze częściej brali je - na rachunek informatorów - oficerowie operacyjni.

- Tak, w tym kryły się możliwości nadużyć. Wszystkiego nie dało się nadzorować.

Natomiast chcę panu powiedzieć, w jaki sposób zdobywało się informacje najbardziej wartościowe, bezinwestycyjnie i bez kompromitowania ludzi. Mistrzem w tej dziedzinie była pułkownik Luna Brystygierowa, dyrektorka Departamentu V w MBP, zajmującego się całą nadbudową, tym, czym później pięć departamentów MSW. To była córka przedwojennego adwokata, bardzo zamożna osoba, bardzo ładna - nogi tylko miała trochę grube. Kochał się w niej - co było wielkim paradoksem - Bolesław Piasecki. Ładna para z nią była: ona brunetka, on blondyn, typowy aryjczyk. Brystygierowa, osoba inteligentna, miała mnóstwo kontaktów z wieloma ludźmi z rozmaitych środowisk - politycznych, naukowych, artystycznych. Od nikogo nie żądała zobowiązań, nie zakładała teczek, a dowiadywała się wszystkiego, czego chciała. Była więc zupełnie odrębna kategoria ludzi, trudno nawet powiedzieć, czy współpracowników, o których nikt nie wie - można się tylko domyślać niektórych nazwisk - z których był bardzo duży pożytek.

- Może pan podać niektóre nazwiska, których nie musi się pan domyślać, gdyż zna je pan na pewno?

- Żadnych nazwisk tajnych współpracowników podawać nie mogę i nie będę. Mogę tylko powiedzieć, że Brystygierowa utrzymywała kontakty np. z większością osób występujących w książce Trznadla „Hańba domowa”.

- Jakie grupy społeczne były najbardziej podatne na współpracę?

- Najbardziej podatni byli robotnicy, którzy z klasowych pobudek chcieli pomagać. Na drugim miejscu postawiłbym arystokrację ziemską. Oni na ogół nie odmawiali współpracy. Jak zdążyłem się zorientować, podobnie było w ZSRR i innych krajach socjalistycznych.

- Napisał pan w swoich wspomnieniach, że Moczar „otworzył swoje biuro”, do którego przychodziło wielu intelektualistów. Czy to znaczyło, że kontynuował metodę Luny Brystygierowej?

- Celnie pan zauważył, że istnieje pewne podobieństwo. Z tym że Luna nie miała na względzie własnych ambicji politycznych, a Moczar je miał.

- Czy pan również stosował tę metodę?

- Ja też, bo uważam ją za bardzo skuteczną.

- Które osoby korzystały z „otwarcia biura” przez Moczara i Szlachcica?

- Bardzo różne i bardzo znane. Nazwisk nie mogę podać.

- Czy przychodzili tam na przykład tacy filmowcy, jak Bohdan Poręba, Ryszard Filipiński, Czesław Petelski?

- Tak, oni znali się z Moczarem, również Jerzy Passendorfer. Filipińskiego uważam za utalentowanego aktora - w roli Hubala i Piłsudskiego był, uważam, znakomity - który niepotrzebnie zajął się polityką.

- A Wojciech Żukrowski, który - jak twierdzi Gierek - miał napisać Moczarowi „Barwy walki”?

- Żukrowski przychodził często, podobnie jak Bartelski i Bratny, do Moczara do MSW i do ZBoWiD. Załatwiali wiele spraw kombatanckich dla byłych akowców, dużo pożytecznych rzeczy załatwili. Natomiast jeśli chodzi o to - napisał czy nie napisał...

Proszę pana, ja znałem dobrze Moczara. On garnął się do pióra, tak jak zresztą większość ministrów spraw wewnętrznych, których ja znam. Merkułow i Abakumow pisali poezje i sztuki teatralne, ja - artykuły i wspomnienia, Andropow pisał wiersze i malował, malował też Alster, Wolf pisał wiersze i powieści.

- Duże pokłady wrażliwości tkwiły w tych ludziach.

- To raczej takie zboczenie. Otóż pisał też Moczar, pisanie mu szło trudno, ale jeszcze trudniejszy był w tym, żeby mu ktoś pomagał. On uważał, że wszystko wie najlepiej, i jeżeli ktoś mu w tym pisaniu pomagał, to przeżywał straszne męki. Mieczysław był bardzo przywiązany do tego, co pisał, ale robił błędy stylistyczne, a nawet ortograficzne. Tekst musiał więc przejść przez solidną korektę, którą ktoś mu zrobił. Czy Żukrowski, czy też Namiotkiewicz albo Róg-Świostek - nie wiem. Ale na pewno musiał ktoś pisać zawodowo wnieść swoje uwagi, bo książka jest dobra, chyba najlepsza, jaka powstała na temat AL.

- A Witold Filler, autor dwóch książek „Paryska »Kultura«” i „Literatura małej emigracji”, wydanych w wydawnictwie MON w roku 1968 i zdradzających świetną znajomość materiałów wywiadowczych? Pan nadzorował wtedy wywiad MSW. Udostępniał mu pan materiały?

- Była pewna kategoria książek na zamówienie resortu...
- **Jakiego resortu?**
- MSW. Niewielu chciało je pisać. I jeżeli ktoś odważył się na to, miał udostępnione wszelkie materiały, bo myśmy w MSW mieli najbogatszą bazę źródłową. Nie wiem, czy te książki należą do tej grupy.
- **Kazimierz Kąkol, czołowy harcownik Marca?**
- Poznałem go w pierwszej połowie lat sześćdziesiątych, gdy był redaktorem „Prawa i Życia”. Nie mogę powiedzieć, żeby był bliskim przyjacielem Moczara, choć kierunek reprezentowali podobny. Zbliżyłem się z nim bardziej w latach siedemdziesiątych, gdy był szefem Urzędu do Spraw Wyznań - moim zdaniem bardzo dobrym. I jesteśmy do dziś dobrymi przyjaciółmi.
- **Co mówi panu nazwisko Ryszard Gontarz?**
- Wiem, że był bardzo aktywny w okresie Marca, ale ja go tylko dwa razy osobiście spotkałem, znacznie później. On był jednym z tych, którzy w 1968 roku zorganizowali „seans nienawiści” w MSW.
- **Był oficerem MSW?**
- Czyim był oficerem, tego nie wiem, ale wiem, że nie MSW.
- **Więc jak mógł organizować ów „seans nienawiści”?**
- Zaproszono go jako prelegenta.
- **Kto go zaprosił?**
- Przypuszczam, że Walichnowski. Za to wyleciał, bo było to spotkanie bez wiedzy i zgody Moczara, który przecież był ministrem. Moczar miał o Gontarzu bardzo negatywne zdanie.
- **W jakich okolicznościach spotkaliście się później?**
- Po roku siedemdziesiątym Gontarz uciął, nie miał pracy i uzał się wszędzie, że ja go tępię i przeze mnie jest w nędzy. Opowiadał, że w 1972 r. rzekomo przyszedł do mnie do KC i mówił, że nie ma z czego żyć, a ja miałem mu odpowiedzieć: „A czy wy w ogóle musicie żyć?” On to kolportował w 1981 roku w takim piśmie „Margines”, wydawanym przez frakcję partyjną „Warszawa 80”. W czasie nadzwyczajnego zjazdu PZPR, gdzie byłem gościem, nie delegatem, odszukałem go i pytam: „Czy myśmy kiedyś ze sobą rozmawiali?” - „Nie, to pierwsze nasze spotkanie”. Potem spotkałem go jeszcze raz, chyba w 1984 r., w Wydawnictwie Spółdzielczym. Wtedy doradziłem mu: „Panie Ryszardzie, pan ma dobre pióro, niech pan pisze książki, a nie zajmuje się polityką. Po co to panu?”
- **Żeby zamknąć temat tajnych współpracowników SB. Powiedział pan, że wśród sankcji stosowanych wobec nielojalnych i opieszłych współpracowników było zwolnienie z pracy.**
- Tak, resort miał taką możliwość.
- **A więc prawdą jest, że każdy kadrowiec dużej instytucji był waszym człowiekiem?**
- Trudno mi powiedzieć, czy ich werbowano. Natomiast wytworzył się taki klimat, że kadrowcy - mogę powiedzieć, że wszyscy - chcieli mieć dobre stosunki z oficerami opiekującymi się zakładami pracy. Bez opinii tych oficerów oni nie mogli zostać kadrowcami stąd sami starali się współdziałać, nawet bez oficjalnego werbowania.
- **Czy prawdą jest, że i każdy pilot wycieczek zagranicznych?**
- Na ogół, choć nie wszyscy, są to dawni pracownicy aparatu bezpieczeństwa, którzy mieli określone zadania. To jest dość lukratywna posada i wielu stara się tam trafić i utrzymać. A więc w każdej grupie wycieczkowej - na Wschód czy na Zachód - pilot, kierownik czy osoba prowadząca to ludzie związani z resortem. Przynajmniej w ten sposób, że przed wydaniem uprawnień sprawdzano ich w MSW, a to ma duży związek.
- **Oprócz tego w wielu instytucjach turystycznych, zwłaszcza w „Orbisie”, zatrudnieni byli niejawni funkcjonariusze SB, którzy tam pracowali, mieli w swych dowodach pieczętki tych instytucji, ale byli waszymi pracownikami kadrowymi, prawda?**
- To było tak. W instytucjach, które miały styk z zagranicą, kilka etatów zajmowali pracownicy MSW. Czasami mówiono o nich, że pracują pod przykryciem.
- **To znaczy w MSZ, MHZ, w centralach handlu zagranicznego, w liniach lotniczych LOT, w urzędach celnych?**
- Prawidłowo wymienił pan instytucje mające styk z zagranicą.
- **A w aparacie partyjnym PZPR lub stronnictw satelickich?**
- Nie, tam nie.
- **A w prokuraturze i sądownictwie?**
- Też nie. Mogę pana zapewnić, że w Polsce ani prokuratorzy, ani sędziowie nigdy nie byli niejawnymi pracownikami SB.
- **Skąd więc taka dyspozycyjność prokuratorów, a w dużym stopniu i sędziów, wobec poleceń Rakowieckiej? Przecież w wielu sprawach, nie tylko politycznych, ale i gospodarczych, nawet kryminalnych o szczególnym charakterze, tam de facto zapadały wyroki?**
- Nie mogę powiedzieć, żeby było jakieś nękanie prokuratorów czy sądów ze strony oficerów MSW, tak jak to było w innych instytucjach, które miały swoich opiekunów z ramienia aparatu. W prokuraturze i w sądownictwie takich opiekunów nie było.
- **Powiedział pan jednak, kiedy mówiliśmy o sprawie zamachowca, że były metody „dogadywania się” z prokuratorami i sędziami. Jakże to metody?**
- To wynikało z systemu, który zakładał, że po aparacie partyjnym najbardziej uprzywilejowaną rolę przy ferowaniu wiążących ocen i opinii miało bezpieczeństwo. To była, po Komitecie Centralnym, najważniejsza instytucja: myśmy się liczyli, nam najbardziej ufano, myśmy mieli największy wpływ na życie kraju, myśmy byli ci lepsi i nasze propozycje brano pod uwagę. Stąd też, gdy chodziło o procesy i wyroki, nasze prośby traktowano jako zalecenia. Oczywiście to wszystko zależało od ludzi. Jeden prokurator się nie bał i zachowywał niezależność, inny wolał iść na ugodę. Był na przykład taki naczelny prokurator wojskowy- Marian Ryba. On się nie bał. Było z nim zawsze dużo awantur, trzeba go było przekonywać, łamać w Komitecie Centralnym, ale on nie słuchał, nie chciał. Potem go usunięto oczywiście. Odważny był również prokurator generalny - Kazimierz Kosztirko - też go usunięto, jak wiadomo. Ale tego Ryby u nas znieść nie mogli, bo się nie

poddawał. Pamiętam, wszyscy naraz na niego krzyczeliśmy: Wicha, Moczar, ja, Strzelecki, a on się nie poddawał. Nie ma dowodów - mówi - to tego nie zrobię. Taki był.

- Rozumiem, że z prokuratorami, którzy przychodzili na ten urząd z waszego aparatu, takich kłopotów nie było.
- MSW w tym czasie nie kierowało swoich ludzi na stanowiska prokuratorów.
- Przypuszczam jednak, że z Kalinowskim żadnych kłopotów nie mieliście.
- Faktycznie. Z nim dobrze się współpracowało.
- Czy resort miał udział w usunięciu Ryby, Kosztirki i w ogóle w usuwaniu takich nieposłusznych prokuratorów?
- Bezpośredni nie, bo wniosek na prokuratora generalnego nie wychodził od nas, ale nasze opinie brano pod uwagę. Sądzę, że Wicha mógł się zalić do Strzeleckiego, że współpraca nie układa się.
- Jakie były metody „dogadywania się” z sędziami i sądami?
- Jako MSW mieliśmy kontakt z sądami na wszystkich szczeblach, ale luźniejszy. Bardziej bezpośredni wpływ na sądy, na wyroki, na tendencje wyrokowania miały wydziały administracyjne KC i KW. My, jeśli chcieliśmy wyrok obostrzyć albo zmienić, zwracaliśmy się do kierownika wydziału, on wzywał sędziego lub prezesa i mu tłumaczył.
- Przejdźmy do kolejnych działań operacyjnych. Pomińmy obserwacje, bo patrzenia, tak jak i donoszenia, konstytucja nie zabrania, a pomówmy o kontrolowaniu korespondencji. Kto się tym zajmował?
- Specjalny pion Służby Bezpieczeństwa, pion „W”. W ministerstwie był to Departament „W”, a w województwach wydziały.
- Na czym polegała ich praca?
- Na Poczcie Głównej w Warszawie grupa pracowników wybierała listy nadsyłane do konkretnej osoby albo instytucji, będącej obiektem naszego zainteresowania. Otwierali nad parą - były w tym celu skonstruowane specjalne urządzenia - i patrzyli, czy jest tam coś ciekawego. Wyrywkowo zaś sprawdzano wszystkie listy idące za granicę lub przychodzące z zagranicy. Dziennie można było sprawdzić może tysiąc listów. Muszę powiedzieć, że było to działanie zupełnie pozbawione sensu. Może w pierwszych latach po wojnie przynosiło to jakieś efekty, ale już w latach sześćdziesiątych i później nikt w listach nie przesyłał informacji szpiegowskich! A był to i ogromny nakład sił, i tworzyło to negatywny klimat w społeczeństwie. Muszę powiedzieć, że pracownicy poczty patrzyli na tych naszych ludzi zajmujących się kontrolą korespondencji bardzo niechętnie i wiecznie się przeciwko temu buntowali. I słusznie, bo była to bardzo niedobra rzecz.
- Co pan wie na temat instytucji „nieznanych sprawców”?
- Rozumiem, że chodzi panu o nieznanych sprawców w cudzoślowie, a nie o nie wykrytych sprawców przestępstw?
- Dobrze pan rozumie.
- Otóż, proszę pana, kiedy ja byłem w MSW, takiej komórki, pionu czy metody działania nie było. Nie używaliśmy takich metod, niech pan w to nie wierzy.
- Jednak i podczas pana rządów w MSW zdarzył się spektakularny przypadek pobicia przez „nieznanych sprawców” znanej i szanowanej osoby - Kisiela, odwiecznego przeciwnika komuny.
- Tak, piszę o tym w swoich wspomnieniach. Pracowaliśmy intensywnie nad wykryciem sprawców, ale bez rezultatu.
- Jakie to „trzy służby” mogły być zainteresowane w jego pobiciu? Służba Bezpieczeństwa, kontrwywiad wojskowy i...?
- Wtedy, w 1968 roku, działała w Polsce specjalna grupa operacyjna KGB. Oni mogli też być tym zainteresowani.
- A kto mógł być zainteresowany w wypadnięciu z okna Henryka Hollanda, ojca znanej reżyserki Agnieszki Holland?
- Redaktor Holland był jednym z bardziej aktywnych „puławian” i członkiem Klubu Krzywego Koła. Był aktywnym zwolennikiem głębokich reform popaździernikowych, co równało się być przeciwnikiem ówczesnego układu politycznego. Po jakimś jego wystąpieniu - ja byłem wtedy jeszcze w Katowicach - zapadła decyzja, by go zatrzymać i przesłuchać i ewentualnie wytoczyć mu proces. Kiedy przeprowadzano rewizję w jego mieszkaniu, on skorzystał z nieuważi oficerów i wyskoczył przez okno. Popenił samobójstwo wskutek wstrząsu nerwowego.
- Skakanie przez okno wskutek wstrząsu nerwowego to dość powszechna choroba. W roku 1972 generał Korczyński, odpowiedzialny za masakrę na Wyrbrzeżu, 13 grudnia 1981 r. Jurek Zieleński, jeden z najbardziej zaangażowanych po stronie „Solidarności” dziennikarzy...
- Tej drugiej sprawy nie znam, natomiast z generałem Korczyńskim rzecz wyglądała inaczej. On ciężko zachorował i zmarł w czasie operacji. Błędem było to, że nie wezwano lekarza z Polski, żeby przeprowadził sekcję. Do kraju przyleciała zalutowana trumna, której nie rozpieczętowano, i to dało podstawy do plotek o wypadnięciu z okna. Oświadczam, że to nieprawda.
- Czy również nie jest prawdą, że Polska udzielała pomocy i schronienia ugrupowaniom terrorystycznym, zwłaszcza z Palestyny i z RAF, do czego przyznała się i NRD, i Węgry?
- Jest rzeczą znaną, że na początku, w latach 1945-47, aktywnie wspomagaliśmy bojowników żydowskich - na terenie Polski istniały obozy „Hagany”, szkolące armię izraelską. Potem - nie wiem. Natomiast od roku 1956, a zwłaszcza w okresie, gdy byłem wiceministrem i ministrem, bo to wiem na pewno, mimo licznych prób i propozycji ze strony terrorystów, nie udzielaliśmy im żadnej pomocy. W 1967 r. były konkretne oferty, żebyśmy współpracowali z Arabami, ale je odrzuciliśmy. Oświadczam, że w tym czasie Ministerstwo Spraw Wewnętrznych nie wspomagało żadnych grup terrorystycznych.
- A Ministerstwo Obrony?
- Jestem przekonany, że też nie, ale szczegółów nie znam.
- Czy polskie MSW wiedziało, że takiej pomocy udzielają bratnie kraje socjalistyczne?
- Oficjalnie nie, ale wiedzieliśmy. To była dżentelmeńska tajemnica.
- Czy na forum międzynarodowym, w czasie narad ministrów spraw wewnętrznych krajów bloku, ta sprawa stawała?
- Nigdy, ani w czasie narad wielostronnych, ani dwustronnych sprawa pomocy terrorystom - a raczej bojownikom antyimperialistycznym, jak ich wtedy nazywano - nie stawała. Nie stawała też sprawa walki z terroryzmem.
- Ale korzystaliście z usług międzynarodowych gangów terrorystycznych. Wspomina pan o „łowcach zbrodniarzy”, którzy na wasze zlecenie ujęli „Ofika” i dostarczyli w ręce MSW.
- Tak, zresztą złapali nie tego, co trzeba.

- Ile im zapłacono?

- O ile pamiętam, 10 tysięcy dolarów.

- Czy często korzystaliście z usług zawodowych gangsterów, gdy chcieliście ująć albo zabić kogoś, kto przebywał za granicą?

- Jeśli chodziło o wykonanie kary śmierci, to przede wszystkim musieliśmy mieć prawomocny wyrok sądu, oczywiście zaoczny. Potem badaliśmy, na ile groźny może być dany szpieg, jeśli pozostanie żywy, bo z reguły chodziło o sprawy szpiegowskie. Jeśli uznano, że wyrok trzeba wykonać, decyzję w tej sprawie podejmował minister spraw wewnętrznych, gdy wykonawcą miał być wywiad MSW, lub minister obrony, gdy dotyczyło to wywiadu wojskowego. Wywiad nawiązywał właściwy kontakt.

- W jaki sposób docierał do zawodowych gangsterów?

- Najczęściej za pośrednictwem wyspecjalizowanych kancelarii adwokackich. Są takie kancelarie w różnych krajach, zajmujące się też pośrednictwem między wywiadami przy wymianie szpiegów.

- Ile kosztuje usługa wykonania zaocznego wyroku śmierci?

- Cena zależała od trudności. Stałego cennika nie było. Słyszałem, że za przywiezienie Światły do Polski oferowano 100 000 dolarów. Sprawa była na dobrej drodze, lecz wywiad radziecki odradził. Wszak był on ich agentem i mieli z nim swoje porachunki. Przy okazji pragnę wyjaśnić, że w latach 1962-72 w ten sposób nie wykonano ani jednego wyroku.

- Czy w latach osiemdziesiątych próbowano wykonać w ten sposób wyrok na Spasowskim, Rurarzu, Najderze?

- Nie potrafię powiedzieć.

- Co to jest „technika operacyjna”?

- Kiedy ja byłem w MSW - bo diabli wiedzą, co oni później wymyślili - technika obejmowała podsłuchy telefoniczne i pokojowe oraz podglądy filmowe i fotograficzne. Był również nasłuch radiowy, ale to inna dziedzina. Ogólnie przez technikę operacyjną rozumie się podsłuchy i podglądy. Kiedy ja byłem w MSW, decyzję o podsłuchu pokojowym mógł wydać minister i wiceminister...

- Każdy wiceminister?

- Nie, tylko nadzorujący pion operacyjny, inny nie mógł. Kiedy ja nadzorowałem pion I - wywiad - mogłem dać, ale tylko w swoim pionie. Departamentom II i III już takiej decyzji dać nie mogłem. W województwie mógł dać zgodę na to komendant lub zastępca komendanta.

Na podsłuch telefoniczny w ministerstwie mógł dać zgodę dyrektor departamentu, a w województwie zastępca komendanta.

Natomiast podgląd mógł zatwierdzić wiceminister. W województwach tego nie stosowano, bo wymagało to bardzo kosztownej aparatury.

- Dlaczego decyzja o podsłuchu telefonicznym mogła zapadać na niższym szczeblu?

- Bo podsłuchy telefoniczne są najprostsze. Robi się tylko podłączenie na crossach, odprowadza do zbiornicy w podziemiach na Rakowieckiej, i tam już urządzenie nagrywające wszystko robi samo. Włącza się w momencie podniesienia słuchawki danego numeru, wyłącza po zakończeniu rozmowy, potem przychodzą, odsłuchują i spisują z taśmy. Najbardziej uciążliwe w tym wszystkim było przepisywanie.

- A podsłuch pokojowy?

- Jest kosztowniejszy, bo trzeba wynająć pomieszczenie w pobliżu podsłuchiwanego lokalu albo ustawić na stałe samochód, a w sumie niewielki z tego pożytek, bo ludzie wycanili się, włączali radio albo puszczały wodę, albo świadomie wprowadzali w błąd, domyślając się, że są podsłuchiwanymi. Równoległe do rozwoju techniki operacyjnej wytworzyła się cała technika samoobrony przed nią.

- Czy musiał pan korzystać z takiej techniki samoobrony? Podsłuchiowano pana kiedyś?

- Kiedy w 1964 r. byliśmy z Moczarem w Moskwie, popiliśmy trochę w ambasadzie i przy wódce różne rzeczy się mówiło.

Następnego dnia było spotkanie z Semiczastnym, szefem KGB, i ten mówi: „Co, popiliście wczoraj ostro?”. A Moczar na to: „A wy dalej podsłuchujecie naszą ambasadę?”. Wołodia mówi: „Sprawdź”. Potem przyniósł nam trzy czy cztery takie dekle, wielkości pudełka zapalek, zamontowane w 1937 roku, i oddał je nam na pamiątkę.

- Były już niepotrzebne, bo później zamontowali nowsze?

- Tego nie wiem, możliwe.

- Czy wy również, na zasadzie wzajemności, podsłuchiwalicie ambasadę radziecką?

- Nie. Ani żadnej ambasady bratnich krajów.

- A niebratnich?

- Niektórych. Ale tu już na zasadzie wzajemności.

- Jak wygląda typowe urządzenie podsłuchowe?

- Za moich czasów było ono dość prymitywne: zwykła rurka o średnicy trzech milimetrów, umieszczana w ścianie, w wywierconym otworze, który łatwo jest zamaskować. Podgląd wymagał otworu nieco szerszego, pięć milimetrów. Obraz przekazywany jest światłowodami do specjalnego pomieszczenia. Widać cały pokój.

- Czy w ten właśnie sposób podglądaliście Cata-Mackiewicza podczas jego łożkowych wyczynów z pielęgniarkami?

- Tak.

- Ile osób podglądaliście w ten sposób, gdy był pan w MSW?

- To były sporadyczne przypadki, w sumie nie więcej niż dziesięć.

- A ilu ludziom zakładaliście podsłuchy pokojowe?

- To było może dwadzieścia osób.

- A telefoniczne?

- To było stosowane na szerszą skalę, nie potrafię podać liczby.

- Chodzi mi o rząd wielkości. Setki? Tysiące?

- Około tysiąca na pewno.

- A co pan wie na temat totalnego podsłuchiwania w hotelach orbisowskich?

- To zaczęło się na dużą skalę w latach siedemdziesiątych, kiedy masowo zaczęli przyjeżdżać obcokrajowcy. Dążeniem każdego pracownika kontrwywiadu było mieć zabezpieczony hotel. Ja sądzę, że na całym świecie tak się robi, bo to jest rutynowa działalność każdego kontrwywiadu.

- Stosowanie podsłuchów pokojowych i podglądów oraz korzystanie z usług tajnych współpracowników wymagało posiadania przez was sieci lokali operacyjnych, położonych blisko podsłuchiwanym obiektom lub takich, w których można się było spotykać z agentami. Ile takich lokali miał resort do swej dyspozycji np. w Warszawie? Pan wspomina tylko o jednym, o willi przy ulicy Zawrat.

- To jest legalny obiekt MSW. Takich willi mieliśmy kilkanaście: na Bielanach, w Konstancinie, w Magdalence. Służyły do tajnych spotkań na wysokim szczeblu albo do czasowego zamieszkiwania przez ludzi ściąganych z zagranicy, albo do ukrycia kogoś. Uruchomienie takiego obiektu wymagało decyzji kierownictwa resortu. Natomiast do celów operacyjnych utrzymywano całą sieć - może kilkaset - wynajętych mieszkań lub pokoi hotelowych. W zasadzie każdy oficer operacyjny dążył do tego, aby mieć jakiś lokal na swoje potrzeby i uzasadniał, że jest on bardzo potrzebny w jego pracy. Patrzyliśmy na to niechętnie, bo nie zawsze służyły one właściwemu celowi.

- Czy SB chętniej korzystała z tajnych informatorów, czy ze zdobyczy owej „techniki”?

- Bezsprzecznie z techniki. Każdy pracownik operacyjny chciałby jak najwięcej wiedzieć o ludziach, ale nie rozmawiając z nimi. Prowadzenie rozmów jest trudne, męczące, można się czymś zdradzić, również zwerbowanie tajnego współpracownika to jest duży kłopot. Natomiast wszyscy lubili korzystać z techniki, bo sami nic nie robili: rano przynoszono im, jak bułeczki, przepisane materiały z podsłuchów, oni je tylko czytali i analizowali, a jak tam były jakieś seksualne sprawy, to mieli dodatkową atrakcję. To się brało po prostu z lenistwa.

- Czy wśród tych, których podsłuchiowano, podglądano lub inwigilowano w inny sposób, byli przedstawiciele poprzednich ekip kierowniczych? Czy konkretnie pan, jako Gierkowski minister spraw wewnętrznych, miał wśród swych „podopiecznych” członków ekipy Gomułki lub może jego samego?

- Gierek nigdy nie domagał się, żeby interesować się odsuniętymi ludźmi Gomułki. Natomiast wiem, że w latach sześćdziesiątych podsłuchiowano kilku ludzi ekipy Bieruta - nazwisk nie mogę ujawnić.

- Z czyjej inicjatywy?

- Moczara, który chciał zdobyć materiały na tych ludzi, bo zawsze uważał, że trzeba ich oddać pod sąd za to, czego się dopuścili, i cały czas szukał czegoś przeciwko nim.

- A czy ma pan pewność, że pan nie był obiektem zainteresowania swoich następców?

- Mam pewność, że byłem przedmiotem zainteresowania tego aparatu, kiedy ministrem spraw wewnętrznych był Kowalczyk. Poinformowali mnie o tym lojalnie sami oficerowie, którym to zlecono. Próbowano mnie wtedy skompromitować.

- A później, kiedy ministrem był Kiszcza? Nie zdarzyło się nic podejrzanego tu, u pana w domu?

- Dużo pan wie. Nikogo nie złapałem za rękę, lecz mam podstawy do twierdzenia, że w 1986 roku ktoś potajemnie wchodził do naszego mieszkania. Miał klucz, przejrzał notatki i inne materiały, pozaglądał do szaf. Nic nie zabrał. Wydawało mi się, że robił tajną rewizję lub zakładał jakieś urządzenia. Wiem, że był, ale po co, nie wiem.

- Napisał pan w swoich wspomnieniach, że na każdego ministra można „coś znaleźć”. Może więc szukano?

- Tak, wspominałem o tym. Miałem na myśli ministrów, którzy w krajach socjalistycznych kierowali służbami bezpieczeństwa. Do 1980 roku prowadziłem sobie statystykę ich losów. W ZSRR, począwszy od Dzierżyńskiego, było dwunastu szefów tych służb. Spośród nich jedynie Andropow osiągnął najwyższy szczyt władzy. Czterech zdjęto ze stanowisk i poddano krytyce, a trzech rozstrzelano. W Polsce było dziesięciu, prawie wszyscy mieli jakieś kłopoty. W NRD było tylko dwóch: jeden siedział, a drugi obecnie siedzi. W pozostałych krajach Układu Warszawskiego od 1945 do 1980 roku było 42 ministrów spraw wewnętrznych. Większość miała kłopoty, ośmiu było aresztowanych, z tego pięciu skazanych na karę śmierci. W krajach kapitalistycznych (z wyjątkiem Trzeciego Świata) ministrowie byli lepiej traktowani, chociaż też ich nie oszczędzano. Na przykład w USA każdy szef wywiadu miał kłopoty. Było w tym trochę zasługi wywiadów krajów socjalistycznych. Byliśmy zainteresowani tym, aby szef wywiadu był rozliczany przez komisję Kongresu, aby wnikliwie nadzorował go prezydent. Wywiad, który ma kłopoty, jest mniej groźny. Kiedyś Breżniew przyrównał los ministra SW do ruskiego pieroga: dopóki jest na patelni, dopóty dolewają tłuszczu, dodają przypraw, chuchają i dmuchają; gdy spadnie na ziemię - zdepczą.

Odszedłem z MSW i chciałem być jak najdalej od tych spraw. Jednak przeszłość ciążyła na mnie. Chcąc ograniczyć moją polityczną działalność, w 1987 roku „przyjaciele” odgrzebali rzekome moje przewinienie sprzed bez mała dwudziestu lat. Wezwano mnie do Centralnej Komisji Kontroli Partyjnej i dano karę partyjną. Wtedy zauważyłem, że w metodach tej komisji nic od czasu Stalina nie zmieniło się. Nadal była to inkwizycja partyjna. Dobrze, że SdRP pozbyła się tego tworu.

Protokół trzeci

Warszawa, 12 lipca 1990 r., godz. 10:00-13:50

- Czy pan osobiście czuje się współodpowiedzialny za wynaturzenia aparatu bezpieczeństwa, za jego wyobcowanie ze społeczeństwa, za stawianie się poza i ponad prawem, za łamanie praworządności, które przecież nie zniknęło wraz z nadejściem Października, za owe „długie ręce władzy”, którymi i pan poruszał?

- Aparat bezpieczeństwa obciążony był od początku ciężkim grzechem pierworodnym. Miał wady wrodzone, które wynikały z systemu rządzenia, służenia jednej ideologii i jednej partii. Z tego wywodziło się przekonanie o jego nadrzędności, „byciu nad”. Nad społeczeństwem, nad aparatem państwowym. Z tych przyczyn MSW poczuło się wyłączone spod kontroli społeczeństwa i

państwa. Przez całe 45 lat wpływ na aparat bezpieczeństwa miała tylko wąska grupa osób ze ścisłego kierownictwa partyjnego: I sekretarz, niektórzy tylko sekretarze KC i kierownik Wydziału Administracyjnego KC. Za Gomułki pełny dostęp do najtajniejszych spraw miał on sam, Zenon Kliszko i Ryszard Strzelecki jako sekretarze, Kazimierz Witaszewski jako kierownik Wydziału Administracyjnego, a po nim Stanisław Kania. Natomiast w czasach Gierka: oczywiście Gierek, ale on się z reguły nie wtrącał, Kania, Kowalczyk jako minister i czasem Babiuch mógł o coś zapytać. Praktycznie jednak cały nadzór nad MSW zmonopolizował w latach siedemdziesiątych towarzysz Stanisław Kania.

- [A premierzy? Wszak to było ministerstwo, jego szef był członkiem rządu i, konstytucyjnie, podlegał prezesowi Rady Ministrów.](#)

- Cały błąd systemowy właśnie na tym polegał, że administracja państwowa - premier, rząd, Prezydium Rady Ministrów - nie miała na to wpływu. Do 1955 r. premier Cyrankiewicz był przedmiotem dość intensywnego rozpracowania, włącznie z założeniem mu podsłuchu, w mieszkaniu i w biurze. W okresie „odwilży”, kiedy Ochab był I sekretarzem, Cyrankiewicz wpadł któregoś dnia na Rakowiecką i kazał sobie dać wszystkie materiały, które go dotyczyły. Część zabrał, a część zniszczył na miejscu.

- [Czy nauczony tym doświadczeniem nie chciał potem mieć stałej kontroli nad Ministerstwem Spraw Wewnętrznych?](#)

- Potem Cyrankiewicz na posiedzeniach Biura Politycznego bardzo ostro krytykował aparat bezpieczeństwa, inspirował taką krytykę na plenach KC, a kiedy Gomułka ponownie objął funkcję I sekretarza, jedną z pierwszych jego decyzji było wtajemniczyć Cyrankiewicza we wszystko. I od tej pory Cyrankiewicz mógł mieć wgląd we wszelkie dokumenty MSW, jeżeli chciał. Mógł otrzymywać wszystkie materiały, jakich zażądał, tyle że nie chciało mu się ich czytać.

Jego następcą, Jaroszewicz, też miał wgląd we wszystkie materiały, ale nie robił tego. Nie interesowały go. To znaczy, nie interesowały go merytorycznie, ale dbał o to, by zachować pozory, że sprawuje władzę nad resortem. Kiedy ja byłem ministrem, po raz pierwszy zdarzyło się, że minister spraw wewnętrznych, w mojej osobie, chodził na posiedzenia Rady Ministrów. Przedtem minister nigdy nie chodził: wysyłał wiceministra, i to takiego najmniej ważnego. Nawet ukształtowała się w resorcie taka niepisana opinia, że minister spraw wewnętrznych jest równy rangą premierowi, wiceministrowie - wicepremierom, a dyrektorzy - ministrom. A premier nie mógł chodzić do drugiego premiera na posiedzenia. Dopiero kiedy Jaroszewicz został premierem, a ja ministrem, powiedział mi, że mu bardzo zależy, żebym przychodził osobiście na posiedzenia rządu. Powiedziałem: „Rozumiem cię, Piotrze, wiem o co chodzi” i zacząłem przychodzić, chociaż miałem takie wpływy u Gierka i w Biurze, że mogłem to zignorować. Ale chciałem pomóc mu w wykazaniu, że jest on prawdziwym premierem. I prawie na każdym posiedzeniu Jaroszewicz podkreślał to w taki mniej więcej sposób: „Proszę MSW o zwrócenie uwagi na to i na to. Towarzysz Szlachcic słyszy?” Cyrankiewicz nigdy tego nie robił.

Powtarzam, merytorycznie Jaroszewicz nigdy nie zajmował się naszą działalnością, bo nie miał na to czasu, ale robił takie pozory w trosce o swój prestiż.

- [A czy Edward Gierek interesował się merytorycznie waszą działalnością? Ingerował w nią?](#)

- Gierek w ogóle nigdy się tym nie zajmował, nawet w Katowicach, kiedy był sekretarzem wojewódzkim, a ja komendantem. Chyba że była jakaś katastrofa albo ciężki wypadek - to wtedy wyjątkowo. Gierek z zasady nie lubił przykrych rzeczy, które burzyły mu spokój. Cenił sobie wygodę i komfort wewnętrzny. Nie interesował się też z lenistwa. On jak jakiś dokument miał więcej niż trzy kartki, to go nie czytał.

- [Opisuje pan przypadek, kiedy Gierek zażądał listy osób, które podsłuchujecie. Czy to był jedyny taki fakt?](#)

- Chyba jedyny.

- [Gierek znalazł na tej liście kilka znanych sobie osób. Może pan wymienić ich nazwiska?](#)

- Nie mogę. Na pytania o nazwiska tajnych współpracowników i osób podsłuchiowanych odmawiam odpowiedzi.

- [Gierek wyraził dezaprobatę na widok tej listy - rozumiem, że miała mniej niż trzy strony - i powiedział, że bzdurami się zajmujecie czy coś takiego. Czy odebrał pan to jako polecenie, by zaniechać podsłuchiwania tych osób, czy tylko jako niewiążącą opinię?](#)

- Było tak zawsze, że życzenie pierwszego sekretarza to jest rozkaz, niezależnie, w jakiej formie zostało wyrażone. Mógł powiedzieć przy kawie - przestańcie, i to miało wagę rozkazu. Pierwszy sekretarz to była wyrocznia, najwyższy decydent. W tym konkretnym przypadku Gierek sam powykreślał nazwiska, mówiąc: „Co to za bzdury, przecież ja znam tych ludzi”. To zresztą też wynikało z natury Gierka. On nie lubił konfliktów. Chciał, żeby w Polsce było jak najwięcej ludzi zadowolonych i żeby go lubiano. To była ideologia Gierka. I dlatego, jak przychodziły materiały krytyczne, niepomysłne, on czuł się źle i wołał ich unikać.

- [Czy inni członkowie kierownictwa partyjnego, poza tym wąziutkim kręgiem, interesowali się waszą pracą?](#)

- W Biurze Politycznym istniał ścisły podział zainteresowań. Każdy członek miał swój zakres obowiązków, swoją szufladkę. Z zasady interesował się tylko tym, co jemu podlegało i bacznie strzegł, by inni się nie wtrącali.

- [Nie mieli do tego prawa czy sami nie chcieli mieć tego prawa?](#)

- Sami wiedzieli, że nie mają prawa. Znali swoje miejsce. Pamiętam, że w 1956 r. podejmowali próby krytycznego wejrzenia w resort trzej tzw. młodzi sekretarze KC: Albrecht, Matwin i Morawski. Ale ich zamiary szybko się skończyły. Musieli odejść.

- [Nie wierzę, że inni członkowie establishmentu nie interesowali się jeśli nie całością, to choćby poszczególnymi sprawami, prywatnie czy półprywatnie. Np. po to, by się dowiedzieć, pod pozorem troski o bezpieczeństwo państwa, czy nie rozpracowujecie ich krewnych bądź znajomych.](#)

- Owszem, mogło tak być.

- [Mogło czy było? Czy do pana konkretnie przychodzili z takimi pytaniami - sekretarze, ministrowie, wicepremierzy?](#)

- Tak, przychodzili do mnie. Niektórzy pytali, czy ktoś nie jest czasem podejrzany, ale to były, że tak powiem, koleżeńskie usługi.

- [Opowiedział pan o nadzorze, czy raczej braku nadzoru nad MSW, ze strony rządu i kierownictwa partyjnego. A przecież teoretycznie uprawniona do tego była też Najwyższa Izba Kontroli, Rada Państwa i przede wszystkim Sejm.](#)

- Ha, ha, ha! Dla kolejnych przewodniczących Rady Państwa - Zawadzkiego, Spychalskiego, Jabłońskiego - dla nich samych byłoby największym zdziwieniem, gdyby im do głowy przyszło, by zapytać, co dzieje się w resorcie spraw wewnętrznych. Była

niepisana umowa - i w Radzie Państwa, i w Sejmie, i w NIK - że do tego nie należy się wtrącać. I od 1945 roku wszyscy jej przestrzegali.

- Nikt nigdy nie próbował jej złamać? Zażądać rzetelnych sprawozdań, dokumentów finansowych? Wezwać ministra spraw wewnętrznych na dywanik, do czego przecież Sejm w każdej chwili miał prawo? A Najwyższa Izba Kontroli, w której przecież istniał osobny dział zajmujący się resortami spraw wewnętrznych i obrony? Na jakiej podstawie wnioskowała ona o absolutorium dla szefów tych resortów, skoro nigdy, jak pan mówi, nie przeprowadziła rzetelnej kontroli?

- Ja mogę mówić tylko o latach 1962-72. Przez te dziesięć lat nie było takiego odważnego posła, marszałka Sejmu, wicemarszałka, członka Rady Państwa, więcej - członka Biura Politycznego, który by powiedział: „Chcę wiedzieć, co tam się dzieje. Mam prawo, jestem posłem”. Nikomu to do głowy nie przyszło.

- A gdyby komuś przyszło?

- Posła wprawdzie chronił immunitet poselski, ale tylko do końca kadencji.

- A co mu mogło potem grozić?

- Nic. Tylko już nigdy więcej nie byłby posłem.

- Minister bezpieczeństwa decydował o tym, kto zostanie posłem?

- W każdym razie miał na to wpływ.

- A gdyby jednak znalazł się taki odważny?

- Ale się nie znalazł. Uważam, proszę pana, że jedną z przyczyn tego wszystkiego było tchórzostwo, lenistwo i wygodnictwo ludzi, którzy zajmowali wysokie stanowiska.

- A może i niewiara w skuteczność takiej donkiszoterii?

- Słusznie. Niewiara w skuteczność też.

- A co by było, gdyby jednak któryś z „mandatariuszy narodu”, pobierający teraz dodatek do emerytury w wysokości połowy diety poselskiej, zażądał od pana rzetelnych informacji - co wy robicie, jak pracujecie, co się u was dzieje, na co wydajecie pieniądze, ilu was jest i tak dalej. Jaka byłaby pańska reakcja jako ministra spraw wewnętrznych?

- Gdyby jakiś poseł, inny członek Biura, nie ten uprawniony, albo członek rządu zaatakował budżet resortu albo coś takiego, ja bym wpadł w złość. Potraktowałbym to jako nieodpowiedzialny wybryk.

- Wybryk?

- Dziś oczywiście inaczej na to patrzę, ale wtedy zareagowałbym tak jak panu mówię. Bo gdyby skrytykował nas Gomułka, Kliszko, Strzelecki albo Kania, to co innego, oni mieli do tego prawo.

- Jakie „prawo”? Prawo to jest konstytucja, ustawy, rozporządzenia. Jaki akt normatywny wyjął was spod społecznej kontroli?

- Prawo niepisane. Czy pan tego nie rozumie?

- Proszę pana, został pan ministrem spraw wewnętrznych po Grudniu roku 1970. Był to przełom, gruntowna zmiana ekipy i stylu rządzenia. Faktycznie Polska lat siedemdziesiątych stała się inna niż ta z epoki Gomułki, zaczęła przybliżać się do Europy, sam Gierek zresztą pozował na światowca, i to z powodzeniem. Czy nie była to świetna okazja, by zerwać z owym stalinowskim grzechem pierworodnym, jakim obciążony był pański resort?

- Gdyby np. w 1971 r. zaatakował resort jakiś inny członek Biura, to oczywiście bym to bardziej delikatnie zrobił, bo już wtedy nauczyłem się wiele i wiele przemyślałem, ale przyjąłbym to bardzo źle. Oczywiście mógłbym dziś panu powiedzieć, że gdyby nastąpiła jakaś próba zmian czy reform w aparacie spraw wewnętrznych, to powitałbym ją z zadowoleniem, że na to tylko czekałem, że byłem za zmianami i tak dalej, ale tego nie powiem, bo byłaby to nieprawda. Przyjąłbym taką próbę bardzo źle. Nie wiem, może by to się źle dla tego kogoś nie skończyło, bo to już była trochę inna rzeczywistość, ale chyba byłbym... no... dość opryskliwy.

- Dlaczego? Z obawy przed umniejszeniem pana władzy? Utratą przywilejów pozostających poza wszelką kontrolą?

- Myślę, że była to fałszywa obrona instytucji, swoisty egoizm instytucji, który był bardzo głęboki, bo kto nam się będzie tu wtrącał, my wiemy najlepiej. Wie pan, przez lata ukształtowała się w naszym aparacie bardzo niedobra mentalność. Żałuję, żeśmy nie zmądrzeli wcześniej. To był wielki błąd.

Ale to dotyczy nie tylko aparatu bezpieczeństwa. To samo odnosi się i do instytucji wojska, i do aparatu partyjnego. Czy słyszał pan, żeby przez 45 lat, z nielicznymi wyjątkami, gdzieś o wojsku krytycznie pisano? A o aparacie partyjnym? To były trzy święte krowy i filary władzy zarazem.

O milicji i o bezpieczeństwie jeszcze można było czasem coś tam przemycić, na zasadzie aluzji. Pamiętam, że w jakimś filmie Barei występował oficer bezpieczeństwa, który w jednej scenie był pijany. Gwałt się podniósł w cenzurze i w Wydziale Propagandy - jakże to, pijany oficer! Może pan zapytać: a co, nie piją? Piją, tylko jak to pokazywać ludziom. Narady były na ten temat na szczeblu ministrów, ostatecznie stanęło na tym, że był troszeczkę podcięty.

- Bardzo ważnymi sprawami zajmowali się ministrowie za rządów PZPR...

- To tylko taki szczegół, ale podam panu przykład poważniejszy. Kiedy Chruszczow zlikwidował NKWD i utworzył Komitet Bezpieczeństwa Państwowego - nosił on nazwę Komitet Bezpieczeństwa Państwowego PRZY Radzie Ministrów. Potem, na życzenie Breżniewa, skreślono ten dopisek. Nie był to tylko zabieg formalny: usankcjonowano w ten sposób niezależność KGB od rządu, od władz państwowych, od wszystkiego. O to „przy” toczyła się walka między Breżniewem a Kosyginem, zakończona klęską Kosygina.

- Czy nie pomyślał pan nigdy, że taki status resortu spraw wewnętrznych, jako zamkniętej świątyni władzy, do której wierni nie mają wstępu, a tylko czują wszechobecność jej kapłanów, nie wychodzi na dobre nie tylko społeczeństwu, ale samej tej instytucji? Że ona, po prostu, degeneruje się wewnętrznie, pozbawiona kontroli i wolna od jakiegokolwiek krytyki? Czy już choćby tylko ten czysto pragmatyczny wzgląd nie nakazywał przewietrzyć jej od czasu do czasu, zrobić w niej generalnego porządku albo i kapitalnego remontu? Przecież ten gmach przy Rakowieckiej już dwadzieścia lat

temu załatwiał stęchlizną!

- Otóż w okresie, kiedy byłem starszym wiceministrem i ministrem, może w sposób nie do końca sprecyzowany, ale uświadamiałem sobie, że coś tu trzeba zmienić. W tym celu powołałem komisję, która przygotowała projekt zmian strukturalnych, ale jasno sprecyzowanego zdania, że tutaj tkwi zło - przyznaję - nie miałem. Czułem, że trzeba wiele poprawić, udoskonalić, ale bez dokonywania jakiejś rewolucji czy choćby głębszej reformy. Nie dojrzałem jeszcze do tego.

Natomiast wiele głębokich przemyśleń nachodziło mnie w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, kiedy byłem wicepremierem, a później pracowałem w PKNMiJ i obserwowałem z boku, jak to wygląda. Widziałem, że znów na posiedzenia Rady Ministrów nie przychodzi minister spraw wewnętrznych, tylko podrzędny wiceminister, widziałem panoszenie się opiekunów z SB po mojej instytucji - i wtedy nachodziła mnie generalna refleksja: Franciszku, i tyś to tworzył.

- Trochę późno.

- Tak, przyznaję.

- Więc dlaczego, zostając sekretarzem KC, nie chciał pan mieć w zakresie swoich obowiązków nadzoru nad MSW? Specjalnie pan prosił Gierka, by panu tego nie przydzielał. Dlaczego? Nie chciał pan ponosić odpowiedzialności za to piwo, którego pan sam nawarzył?

- Już w latach 1968-69 szykowałem się do tego, że odejdę z resortu. Popadłem w niełaszkę ekipy Gomułki, byłem odsuwany i psychicznie przygotowałem się do odejścia. Kiedy byłem z Gierkiem w Gdańsku i Szczecinie, jeszcze bardziej upewniłem się w tym, że powinienem odejść, przestać mieć z tym cokolwiek wspólnego. Mnie to po prostu zbrzydło, miałem dosyć. Ponadto poczułem ogromny strach przed odpowiedzialnością, przed podjęciem takiej decyzji, jaką podjęto w Gdańsku i Szczecinie.

- Chodzi konkretnie o strzelanie do ludzi?

- Tak, właśnie o to. Uważałem, że może dojść do sytuacji, kiedy znów trzeba będzie taką decyzję podjąć i nie chciałem, by to obciążało mnie. Ja - - powiedziałem sobie - nie będę o tym decydował.

I trzecia sprawa: miałem kolegę, Stanisława Kanię, który był moim dobrym przyjacielem i nadzorował MSW. Wiedziałem, że byłoby mu bardzo przykro, gdybym mu to odebrał. On bardzo lubił tę pracę, po prostu kochał się w tej służbie. Nawet kiedy już byłem sekretarzem, przychodzili do mnie moi następcy w resorcie spraw wewnętrznych, najpierw Ociepka, potem Kowalczyk, i mówili mi o różnych sprawach, ale odsyłałem ich do Staszka. Kowalczyk proponował: „To ja będę prywatnie do ciebie przychodził, informował cię”, ale ja nie chciałem mieć z tym absolutnie nic wspólnego.

- Nie podejrzewał pan, że chcą pana sprawdzić, np. w imieniu Gierka, czy nie będzie pan zbierał informacji za jego plecami?

- O tak głęboką intrygę nie podejrzewałbym Kowalczyka. To nie na jego umysł.

- A może to samo proponowali oni Moczarowi i on nie odmówił? W każdym razie w 1980 roku okazało się, że ma mnóstwo bardzo dokładnych informacji o członkach ekipy Gierka.

- Moczar zbierał te informacje na własną rękę, za pomocą aparatu Najwyższej Izby Kontroli. Ale oczywiście od niego zależało, jak będzie ukierunkowywał te kontrole. Nie wykluczam jednak, że był przez cały czas w kontakcie z Kanią, któremu pomógł zostać pierwszym sekretarzem.

- Hermetyczne zamknięcie waszej instytucji przed społeczeństwem, kontrolą i krytyką, łatwość nabywania owych policyjnych nawyków siłą rzeczy degeneruje i wypacza psychikę ludzi tej instytucji. Proszę, by w odpowiedzi na kolejne pytanie, nie opowiadał mi pan bajek o niezłomnych, ideowych czekistach, lecz wyjawiał szczerze, w jaki sposób, spośród kogo i z jakimi skutkami werbowano ludzi do aparatu przemocy: MBP i MSW.

- Proszę mnie nie obrażać. Bajek nie opowiadam. W pierwszym okresie władzy ludowej nabór do tego aparatu prowadzono na podstawie kryteriów czysto klasowych, z przyczyn ideowych i praktycznych. Z ideowych dlatego, że była to władza ludowa, robotniczo-chłopska, toteż w tym najważniejszym instrumencie władzy powinni pracować robotnicy i chłopci. A powód praktyczny to ten, że inteligencji było mało, bo została w dużej części wymordowana przez jednych i przez drugich. Ci, co ocalili, na ogół uważali, że jest to aparat obcy. W województwie krakowskim, w okresie, gdy ja tam pracowałem, czyli w latach 1945-48, z wyjątkiem tych, którzy przyjechali ze Związku Radzieckiego - a byli to głównie Żydzi - jedynie kilka osób przyjętych do bezpieczeństwa miało maturę.

- Ludzie prowadzący śledztwa, formułujący zarzuty w oparciu o kodeks karny, nie musieli znać przynajmniej podstaw prawa?

- Aż do końca lat pięćdziesiątych w resorcie bezpieczeństwa i spraw wewnętrznych nie doceniano, a nawet programowo lekceważono, wykształcenie ogólne i humanistyczne. Uważano, że wyższe uczelnie opanowane są przez elementy burżuazyjne, więc tylko demoralizowałyby przyszłych oficerów bezpieczeństwa. Rozwinięto więc system własnego szkolenia, metodą rozmaitych kursów, szkół partyjnych i resortowych, które dawały poczucie wykształcenia i potrzebnych kwalifikacji.

Podstawowym podręcznikiem w tych szkołach był „Krótki kurs historii WKP(b)” i biografia Stalina. Myśmy wkuwali na pamięć: cztery zasady dialektyki, trzy zasady polityki - do dziś potrafię to recytować.

- Nie zadawaliście sobie pytania, w jaki sposób będzie to wam przydatne w pracy - przepraszam - policyjnej?

- Nam się wydawało, że to jest bardziej przydatne niż jakokolwiek inna wiedza. Dlatego też mało jest takich przypadków, by ktoś z aparatu bezpieczeństwa szedł na wyższą uczelnię, jak np. profesor Krukowski z Uniwersytetu Warszawskiego, który rzucił bezpieczeństwo, poszedł na uczelnię i tam już został. Podobnie postąpił profesor Wiktor Herer. W naszym poczuciu my, po tych kursach resortowych i partyjnych, byliśmy mądrzejsi niż ci, którzy kończyli uniwersytety. Bo tam nie uczono „Krótkiego kursu”, dialektyki, walki klasowej, życiorysu Stalina. Wiedza uniwersytecka była więc przestarzała, a nasza - bardziej postępową, nowoczesną.

Nieco inaczej, to znaczy lepiej, traktowano u nas wykształcenie politechniczne, uważano je za bardziej przydatne.

Ludzi z wyższym wykształceniem trafiało więc do nas mało, ale już ci, którzy przyszli, robili z reguły szybką karierę w aparacie. I tu zaczynały się konflikty i dramaty. Bo oni - gorsi klasowo, bo z wykształceniem - szli szybko w górę, a my - ci lepsi, bardziej

ideowi - zostawiliśmy z tyłu. Toteż przez długi czas w masach aparatu bezpieczeństwa panowała niechęć do osób wykształconych i do wyższych uczelni w ogóle. To uważam za błąd naszych władz politycznych, bo jakże bez wykształconych kadr, znających języki, prawo, ekonomię, prowadzić np. skuteczną działalność wywiadowczą.

- [Ten antyinteligentcki kompleks MSW i PZPR widać było wyraźnie w latach sześćdziesiątych, zwłaszcza w okresie Marca '68, a nieznaną jest prawa i konstytucji nadrabiano brutalnością w czasie przesłuchań.](#)

- Proszę pana, w pierwszym okresie przyjmowano do służby w aparacie bezpieczeństwa wielu analfabetów, nie potrafiących pisać i czytać, a co dopiero mówić o znajomości prawa. Pamiętam, chyba w 1947 r., kiedy byłem szefem powiatowego urzędu w Olkuszu, przyjechałem na posterunek w Pieskowej Skale i widzę taką scenę: referent do walki z bandytyzmem z tej placówki siedzi na piecu, trzyma w ręce kij, w jednym rogu pokoju siedzi na krześle jeden aresztowany, w drugim rogu drugi i ten trzyma w ręce papier i ołówek. Tamten mówi, ten na piecu pokrzykuje, a ten drugi pisze. Co się okazuje - trafiłem akurat na przesłuchanie zatrzymanego. Ponieważ śledczy był niegramotny, kazał drugiemu aresztantowi pisać protokół i tym kijem dodawał sobie autorytetu. I jeszcze pokrzykiwał na tego, co pisał: „Złe zanotowałeś, on powiedział inaczej”. Tak to było.

- [Mnie jednak chodzi o czasy bardziej nowożytnie, o lata sześćdziesiąte, w których kierował pan resortem. Jak wtedy wyglądała polityka kadrowa w MSW?](#)

- W latach sześćdziesiątych to się zaczęło zmieniać. Jeszcze w latach pięćdziesiątych kadry bezpieczeństwa opierały się w dużej części na strukturze rodzinnej. Pracowały w aparacie całe rodziny: ojciec, matka, brat, żona. Wynikało to z potrzeby zachowania tajności oraz ze zwykłej wygody - łatwiej było stworzyć środowiskowe getta w wydzielonych dzielnicach czy blokach. W latach sześćdziesiątych już odchodzono od zasady zatrudniania w aparacie całych rodzin - chociaż zdarzało się to i później, aż do chwili obecnej - i zaczęto bardziej doceniać znaczenie wykształcenia. Najpierw średniego, potem wyższego. Już z końcem lat pięćdziesiątych zapadła decyzja, że kto nie ma matury, nie może być oficerem, a w sześćdziesiątych przyjmowano ludzi po studiach. W ostatnich latach, o ile wiem, tendencja ta zaczęła przeważać.

- [Z jakich szkół, uczelni czy środowisk przyjmowano najwięcej kandydatów do pracy w SB?](#)

- Przede wszystkim spośród absolwentów studiów nauczycielskich i spośród nauczycieli.

- [Chodziło o pedagogiczne podejście do wrogów ustroju?](#)

- Nie, o względy czysto materialne. Nauczyciele wtedy kiepsko zarabiali, nie mieli perspektywy na dorobienie się, na mieszkanie, a my oferowaliśmy i znacznie wyższe zarobki, i mieszkanie najpóźniej po roku-dwóch, i inne rzeczy. Z tych pobudek oni przychodzili do nas. W latach sześćdziesiątych skończyła się już motywacja ideowa, a górę brały względy czysto ekonomiczne.

- [Czy prowadziliście aktywny werbunek, czy po prostu przyjmowaliście każdego, kto się do was zgłosił, kto tylko nie miał rodziny na Zachodzie, ojca w AK i brata księdza?](#)

- Raczej to drugie.

- [Czy prócz ankiety personalnej i badania teczek stosowaliście wobec kandydatów jakieś specjalistyczne testy psychologiczne, psychotechniczne, na inteligencję, na ukryte skłonności, np. sadystyczne?](#)

- Cały czas mówiło się, że należy to wprowadzić, ale jakoś bez przekonania. Raczej ograniczano się do rutynowych badań lekarskich.

- [No i do przesłuchań na okoliczność lojalności: że kandydat jest niewierzący, a jak jest, to przestanie, że nie będzie chrzczył dzieci, że uznaje kierowniczą rolę partii, będzie umacniał sojusz ze Związkiem Radzieckim po wsze czasy i tak dalej.](#)

- Tak, to było oczywiste. Zresztą w wielu przypadkach przychodzili do nas ludzie już ideowo sprawdzeni. Z organizacji młodzieżowych, z aparatu partyjnego albo po szkołach partyjnych.

- [Co resort im oferował w zamian za lojalność i wierną służbę dla partii, a przeciw narodowi?](#)

- Proszę pana, ja w organach pracowałem, jak mówiłem, od stycznia 1945 r., a chyba dopiero w czerwcu albo lipcu otrzymałem pierwszą pensję. Na początku dostawało się tylko wódkę i konserwy z UNRRA. Pensje były na początku bardzo marne, trudno mi dziś nawet powiedzieć, ile tego było. Dopiero gdzieś w roku 1947, jak już zostałem szefem powiatowym, było trochę lepiej. Pamiętam, że zarabiałem około półtora raza tyle, co górnik na kopalni.

Oprócz tego dostawaliśmy umundurowanie, oczywiście opiekę lekarską, bezpłatne wyżywienie w stołówce, zniżkę na pociąg - innych przywilejów nie było. A pierwszy raz na urlop pojechałem dopiero w 1956 albo 57 roku.

- [Józef Światło odmalował obraz całkiem innego świata resortowych przywilejów roku 1953: luksusowe mieszkania, bajońskie pensje, sklepy „za żółtymi firankami”, limuzyny służbowe, służące i pokojówki, wspaniałe ośrodki wczasowe. Ponieważ relacja Światły jest bardzo dokładna i rzetelna we wszystkich szczegółach - np. dotyczących spraw organizacyjnych i kadrowych - a więc chyba w tej materii również. Podejrzewam więc, że zataja pan prawdę. Zwłaszcza że sam pan wspomina w „Gorzkim smaku władzy” o zamkniętej dzielnicy willowej w Konstancinie, w której mieszkali promineni MBP.](#)

- Zaraz, zaraz. Trzeba odróżnić przywileje, jakie miała góra aparatu, od warunków, w jakich pracowaliśmy w terenie. To zresztą było jednym z powodów rozczarowania i kryzysu w aparacie w latach 1950-55. Ze sklepów „za żółtymi firankami” zacząłem korzystać dopiero w Warszawie, gdy zostałem wiceministrem.

- [W terenie ich nie było?](#)

- W terenie były „Konsumy”, utworzone chyba w 1949 roku, gdzie zaopatrywał się aparat partyjny, milicja, bezpieczeństwo, prokuratura i osobno wojsko.

- [Więc z jakich przywilejów korzystał pan w Warszawie jako wiceminister i minister spraw wewnętrznych?](#)

[Przykładowo: o ile wyższe były pana pobory od pensji pańskich kolegów z rządu, z resortów cywilnych?](#)

- Moja pensja była dokładnie taka sama, jak każdego innego wiceministra i ministra, z tym że kierownictwo resortu spraw wewnętrznych dostawało jeszcze tak zwane kopertówki. Polegało to na tym, że raz na kwartał szło się do szefa URM, Janusza Wieczorka, i on już miał przygotowane koperty z pieniędzmi. Brałem swoją z nazwiskiem „Szlachcic” i wychodziłem.

- [Nie kwitował pan tego podpisem na jakiejś liście?](#)

- Nie.
- Ile było w takiej kopercie?
- Różnie. Ogólnie można przyjąć, że była to druga pensja.
- Były tam tylko bilety Narodowego Banku Polskiego czy również banknoty emitowane przez inne, lepsze banki emisyjne?
- Tylko złotówki. Chcę dodać, że takie same koperty odbierali minister i wiceministrowie obrony narodowej oraz niektórzy inni ministrowie wyróżnieni przez premiera.
- Czy wśród przywilejów dla wyróżnionych istniały również możliwości zakupu dewiz po kursie oficjalnym?
- Tak. Członkowie Biura Politycznego, sekretarze KC, kierownictwo MON i MSW oraz dyrektorzy w tych resortach mieli taką możliwość u Wieczorka w URM, a nadto u nas w ministerstwie dyrektor Departamentu Finansów mógł za zgodą ministra sprzedawać dewizy poszczególnym funkcjonariuszom MSW.
- Co jeszcze?
- Kolejka mieszkaniowa nie była długa. Dla niektórych w ogóle jej nie było. Częściej jeździli na wczasy, mieli łatwiejszy dostęp do lekarzy. Później doszły talony na telewizory i samochody i inne dobra trwałego użytku.
- Pan ile razy korzystał z talonów?
- Tylko raz, ale znacznie później. W MSW nie brałem talonów.
- Jakie jeszcze przywileje?
- Trzeba powiedzieć o tak zwanej bazie przy ulicy Miłobędzkiej. Jest to sklep zaopatrzenia Biura Ochrony Rządu. Zaopatrywał głównie w żywność i alkohole - a w latach pięćdziesiątych również w artykuły przemysłowe - po cenach detalicznych, ale w znacznie lepszym gatunku niż w sklepach. Za moich czasów mogli z owej bazy korzystać członkowie Biura Politycznego, sekretarze KC, wicepremierzy, marszałek Sejmu, szefowie stronnictw sojuszniczych oraz wiceministrowie spraw wewnętrznych i obrony. Składało się telefonicznie zamówienia, kurier przywoził to do domu, a raz w miesiącu płaciło się rachunek.
- O czym jeszcze pan nie powiedział?
- O funduszu dyspozycyjnym, przysługującym ministrowi i wiceministrowi mojego resortu. Otrzymywało się go raz na kwartał, mniej więcej w wysokości jednej pensji. Za to nie korzystaliśmy z diet podczas wyjazdów. Za te pieniądze mogliśmy zapraszać na obiady, robić prezenty, wysyłać kwiaty. To byłoby chyba wszystko.
- A „R”, a potem karty „W” - zwalniające od kontroli drogowej, zwane przepustkami na bezkarność, które nierzadko stawały się wejściówkami do piekła - żeby wspomnieć wypadek drogowy generała Sylwestra Kaliskiego?
- Rzeczywiście, przysługiwały one tym samym ludziom, którzy mogli zaopatrywać się w bazie na Miłobędzkiej. Listę układało Biuro Ochrony Rządu, a wydawała je Komenda Główna MO.
- Dysponował nimi znacznie szerszy krąg osób. Na przykład syn ówczesnego premiera, wszyscy generałowie czy niejaki Tyrański, dyrektor Centrali Handlu Zagranicznego „Minex”, bohater jednego z głośniejszych procesów lat osiemdziesiątych.
- Były możliwości rozszerzenia tej listy. Podobnym przywilejem było zwolnienie wybranych osób od kontroli celnej. W ramach naszej współpracy z bratnimi krajami socjalistycznymi zwalniano również te osoby od kontroli po tamtej stronie granicy.
- A co pan powie o „udziale w łupach”? O przejmowaniu przez prominentów resortu spraw wewnętrznych mienia skonfiskowanego osobom skazanym, przeciwko którym MSW prowadziło śledztwo? Wszyscy przecież wiedzą, że minister spraw wewnętrznych, późniejszy sekretarz KC, nadzorujący ten resort w okresie stanu wojennego, Mirosław Milewski, przejął willę po Mętlewiczu, bohaterze wielkiej afery przemytniczej. Jakże przepisy rządziły taką praktyką?
- Nie rządziły tym żadne przepisy. Taka praktyka była częsta w pierwszych latach, ale już gdzieś od roku 1947 przestrzegano, by funkcjonariusze bezpieczeństwa, potem MSW, nie uczestniczyli w przejmowaniu mienia po skazanych. Owszem, ono mogło przejść na własność resortu - jak np. pałacyk przy ulicy Zawrat - ale nie poszczególnych osób. To było zawsze naganne, a nawet karalne. Aparat bezpieczeństwa nie powinien tego robić. W czasie pracy w MSW miałem zaufanie do Mirosława Milewskiego, uważałem go za uczciwego i rozsądnego oficera.
- Jeżeli już pan mówi o swoich byłych podwładnych i współpracownikach, którzy potem, po pańskim odejściu, wzięli resort w swoje ręce, to idźmy po kolei. Władysław Pożoga.
- Poznałem go, gdy był zastępcą szefa Służby Bezpieczeństwa w Gdańsku podczas dramatu grudniowego. Nie mogę powiedzieć, by wyróżniał się inteligencją, aktywnością bądź biernością. Był raczej człowiekiem zapleczka, ukrywającym się w cieniu innych, bardziej aktywnych ludzi. Jako minister nie zapisałem go do kadry rezerwowej. Nie wiem, co zdecydowało o tym, że został pierwszym zastępcą ministra Kiszczaka. Musiały istnieć powody, których nie znam.
- Adam Krzysztoporski, wiceminister w okresie zwalczania KOR, nagle usunięty do resortu żeglugi.
- Też zrobił błyskawiczną karierę. Przyszedł do nas po ukończeniu Wyższej Szkoły Morskiej i od początku wyróżniał się inteligencją. Bardzo szybko awansował w pionie wywiadowczym, miał duże zasługi w kierowaniu wywiadem naukowo-technicznym. Gdy odchodziłem z ministerstwa, był tylko wicedyrektorem departamentu, ale miał zadatki na coś znacznie więcej. Nie znam szczegółów jego odejścia, ale słyszałem, że było to związane z wpadką. Mówiono mi, że w jego pionie jakiś oficer zabrał akta osoby rozpracowywanej, upił się, zgubił te akta, trafiły one do tej osoby, a był to ktoś znaczny. Sprawa dotarła do ówczesnego premiera Jaruzelskiego i za to ów oficer, dyrektor i. Krzysztoporski wylecieli z resortu.
- Zbigniew Pudysz, prawa ręka Kiszczaka w ostatnich latach jego przydługich rządów w MSW.
- Za moich czasów był zwykłym oficerem Biura Śledczego, w stopniu porucznika, może kapitana. Nie znałem go osobiście. Blżej zainteresowałem się nim po przeczytaniu jego książki o sprawie zabójstwa Gerharda. Opisuje przebieg i wyniki dochodzenia, ale unika podawania nazwisk oficerów, którzy najbardziej przyczynili się do wykrycia i ujęcia sprawców. Nawet nie podał nazwiska ówczesnego ministra SW, bo mogło być to źle widziane. W ogóle razi w tej książce zbędna liryka.
- Henryk Dankowski, drugi z wiceministrów do końca wiernych Kiszczakowi.
- Nie znam, nie wiem, kto to taki, poza tym, że przyszedł z wojska.

- Zdzisław Sarewicz, ostatni szef wywiadu ze starej struktury, który jeszcze jesienią 1989 r. przesyłał Dankowskiemu, Kiszczakowi, Rakowskiemu i Jaruzelskiemu raporty z rozpracowania członków rządu Tadeusza Mazowieckiego, ujawnione przez KPN.

- Gdy byłem ministrem, był to jakiś porucznik. Nie widziałem go, bo takich jak on było w gmachu osiem tysięcy.

- Lucjan Czubiński, którego Kiszczak odstrzelił na pięć minut przed dwunastą. Prokurator generalny z lat 1980-81, który potem przeszedł do MSW na dyrektora i wiceministra, co potwierdza, że w tamtych czasach ranga prokuratora generalnego PRL była równa raptem dyrektorowi w MSW, ale i sugeruje, że cały czas był on człowiekiem aparatu.

- Nic złego nie mogę o nim powiedzieć.

- Czesław Kiszczak.

- W czasie, gdy nadzorowałem wywiad, on był szefem kontrwywiadu wojskowego, więc parę razy mieliśmy kontakt służbowy.

Trudno mi mówić o jego pracy. Mogę jedynie powiedzieć, że niepotrzebnie przeniósł do MSW struktury i biurokrację wojskową. Stworzył służby, zarządy, szefów itp. Na pewno zbędne i kosztowne było utworzenie Głównego Zarządu Politycznego MSW z wiceministrami na czele i jego odpowiednikami w terenie. Ministerstwu Spraw Wewnętrznych była potrzebna nie militaryzacja, lecz cywilizacja.

- Wiesław Ociepka, pański następca na stanowisku ministra spraw wewnętrznych.

- To był krajan Gierka, z tych samych stron, a to stanowiło silną rekomendację. Pełnił funkcję zastępcy kierownika Wydziału Administracyjnego KC, ale niczym się nie wyróżniał, nie błyszczał inteligencją. Był ministrem krótko, zginął w katastrofie lotniczej pod Szczecinem, wraz z ministrem spraw wewnętrznych Czechosłowacji.

To było wiosną, samolot przelatował nad lasem, wyszedł na otwartą przestrzeń, doznał nagłego oblodzenia i runął - zdarza się. To było w nocy, więc zadzwoniłem zaraz do Husaka, by go powiadomić o tym nieszczęściu, a on mi na to: „Z takiego powodu musicie mnie budzić?”

- Powszechnie uważano, a i dziś jeszcze sugeruje to Zdzisław Rurarz w swoich pamiętnikach „Byłem doradcą Gierka”, że był to zamach.

- Zamach? A kto by tam na Ociepkę nastawał. Jakby go ktoś pobił na ulicy, to tak, bo to był taki mikrus.

- Stanisław Kowalczyk, następca Ociepki, minister przez większą część epoki Gierka, który doń wieje dziś nienawiścią, oskarżając go, że wraz z Kanią zmontował przeciwko niemu spisek.

- To był przyjaciel Gierka z Katowic, pełnił tam funkcję sekretarza ekonomicznego KW, a w Warszawie był kierownikiem Wydziału Ekonomicznego KC. Po śmierci Ociepki Gierek zaprosił mnie do swojej rezydencji w Spale, którą zbudował mu właśnie Ociepka ze środków resortu - była to ogromna rezydencja, która musiała bardzo dużo kosztować. Nieprawdą jest, co mówi Gierek, że była to rezydencja Mościckiego - zbudowano ją specjalnie dla Gierka, do jego wyłącznej dyspozycji. Ja wtedy pierwszy raz tam byłem. Zapytał o kandydaturę na ministra spraw wewnętrznych, ale odniosłem wrażenie, że to tylko formalność, bo on już ma kandydata. Wie pan, w polityce jest tak, jak w zбочeniach seksualnych - o pewnych sprawach nie mówi się nawet najbliższemu przyjacielowi. On mi nie musiał mówić, ale ja wiedziałem, że on już ma upatrzonego Kowalczyka, lecz że są też inne kandydatury. Jaroszewicz proponował Kazimierza Olszewskiego, wicepremiera, Babiuch - Żandarowski, a Kania - Milewskiego. Ja wymieniłem swoich, Piętkę i ewentualnie Filipiaka, bo uważałem, że powinni być ktoś z resortu, nie z zewnątrz. Gierek powiedział, że Piętek jest bardzo dobry, ale uważa, że właśnie powinien być to ktoś spoza resortu, i taka była rozmowa. Powiedział, że dobry byłby Kowalczyk. Nie dyskutowałem, bo wiedziałem, że jeśli Gierek ma jakiś zamiar, to dyskusja jest bezzasadna. Zwróciłem tylko uwagę, że po raz pierwszy ministrem spraw wewnętrznych będzie nie ktoś z PPR, komunista, ale z PPS, bo Kowalczyk przed zjednoczeniem należał do PPS.

- Czy to wtedy, po dwudziestu paru latach, miało jeszcze znaczenie?

- Oj, tak, miało znaczenie. W naszym raporcie tylko raz, na samym początku, w 1946 roku, i to przez bardzo krótko, był wiceminister z PPS, Wachowicz, który zresztą nie miał żadnego wpływu, a tak to był zawsze resort komunistów. Dla Gierka nie miało to jednak znaczenia. Poleciał mi przeprowadzić z Kowalczykiem rozmowę. Wróciłem do Warszawy, mówię mu: „Staszku, Gierek sobie życzy, a ja popieram, żebyś został ministrem”. A on na to: „Wykluczone, nie chcę i nie będę”. Zaparł się. Sytuacja stała się głupia, wracam do Gierka i mówię, co i jak. On na to, żeby przysłał mu Kowalczyka, to porozmawia z nim. Nie wiem, o czym rozmawiali, mogę się domyślać. Przypuszczam, że Gierek mówił mu mniej więcej tak: Staszek, jestem w trudnej sytuacji, nie mam tu wielu zaufanych ludzi, widzisz, Piotr czyha, Szlachcic czyha, musisz mi pomóc - tak przypuszczam, bo to leżało w stylu Gierka. Znam te rozmowy, bo Szydłak nigdy niczego nie utrzymał w tajemnicy, jak on coś wiedział, wszyscy wiedzieli.

Tak Kowalczyk przejął resort. Najpierw liczył się ze mną, potem coraz mniej i nawet bał się ze mną rozmawiać; jak siedzieliśmy obok siebie na posiedzeniach Biura, to krzesło odsuwał, żeby być o te pół metra dalej. Kiedy przyszły dla mnie ciężkie chwile i na Biurze dwa razy stawała moja sprawa, on należał do tych, którzy atakowali mnie najmocniej. Do tego stopnia się posunął, że kiedyś powiedział, że nie będzie o czymś Biura informował, bo siedzi tutaj Szlachcic. Nigdy do mnie nie zadzwonił, ja dzwoniłem do niego dwa razy, to nie odpowiedział, a byliśmy przecież serdecznymi przyjaciółmi. Ale potem, jak go zrzucili, to do mnie zadzwonił. Ale teraz ja odpowiedziałem: „A odpięrz ty się ode mnie, nie chcę z tobą gadać”. Spotkałem go jeszcze dwa razy na ulicy, podszedł do mnie, ale mu ręki nie podałem i nie podam.

- Henryk Piętek, partyzant-moczarowiec, awansowany w 1971 r. na wiceministra spraw wewnętrznych, a wkrótce przesunięty do Ministerstwa Leśnictwa, w związku z czym opowiadano anegdotę, że tuż po wojnie partyzanci szli z lasów do bezpieczeństwa, a teraz z bezpieczeństwa do lasów.

- To mój stary, dobry przyjaciel z AL. Zaraz po wojnie szef UB w Końskich, Piotrkowie i Łodzi. Chyba w 1955 r. został przeniesiony do centrali, do Departamentu III, w 1966 r. został jego dyrektorem. Na mój wniosek awansowano go na wiceministra, a po śmierci Ociepki jego proponowałem na szefa resortu. Ale Gierek i Babiuch zablokowali jego kandydaturę, a wkrótce usunęli z ministerstwa. Inteligentny, odważny, pryncypialny. Sądzę, że gdyby się ode mnie odciął albo jeszcze lepiej - zaczął na mnie donosić, zostałby w resorcie.

- Henryk Ciastoń, szef Służby Bezpieczeństwa i wiceminister w stanie wojennym, usunięty do Tirany po zabójstwie księdza Popieluszki. Utożsamiany z ową „górami”, która miała inspirować porwanie i zabicie księdza.

- Przeszedł do aparatu w latach pięćdziesiątych, tuż po skończeniu politechniki. Zdolny, inteligentny, zapowiadał się bardzo dobrze. W 1956 r. w Komitecie Bezpieczeństwa powstała grupa, domagająca się radykalnej odnowy aparatu i oddania pod sąd wszystkich winnych łamania prawa. On stanął na czele tej grupy. Przypisano mu antysemityzm i całą grupę wraz z nim usunięto z resortu. Pracował w przemyśle, zrobił doktorat, chyba z chemii, i w 1971 r. ponownie przyjęto go na wicedyrektora Departamentu III. Miałem do niego wiele sympatii. Ale gdy byłem odsunięty, a on pełnił funkcję wiceministra, zwracałem się do niego kilka razy w sprawach pracowniczych (jego pion zablokował komuś z moich ludzi paszport) - i wtedy zareagował niechętnie. Sądzę, że wynikało to z tchórzostwa - by mu nie zaszkodziła znajomość ze mną. Rozczarowałem się do niego.

- Zenon Płatek, dyrektor Departamentu IV, zajmującego się księżmi, podwładny Ciastonia, tylko świadek w procesie morderców księdza Jerzego, też wkrótce usunięty ze służby.

- Nie znałem go, musiał awansować znacznie później, a może przyszedł z wojska, wraz z Kiszczakiem.

Ale przy tej okazji chcę wspomnieć o generale Konradzie Straszewskim. Pochodził z rodziny robotniczej, miał maturę, robił szybką karierę w IV Departamencie, zajmującym się Kościołem. Miał na ten temat ogromną wiedzę, prawie taką jak pułkownik Ćmielewski, szlachcic z Wilna, który podobno przez kilkanaście lat był księdzem, a potem zrzucił sutannę, przyszedł do nas i był zastępcą Brystygierowej. Otóż Straszewski miał dużo zalet, ja go awansowałem na naczelnika i wicedyrektora, potem został dyrektorem i wiceministrem. Jeszcze w czasie wizyty papieża w Polsce w 1983 roku był głównym koordynatorem ze strony rządowej wszystkich działań zabezpieczających porządek, wywiązał się z tego bardzo dobrze, papież mu osobiście dziękował przy wyjeździe, i nie wiem, dlaczego krótko potem został usunięty. Osobiście uważam, że gdyby Straszewski nadal nadzorował pion zajmujący się Kościołem, nie doszłoby do zamordowania księdza, co uważam osobiście za najcięższą zbrodnię aparatu bezpieczeństwa. Nawiasem mówiąc, takich jak Piotrowski, nadgorliwców, ja zawsze najbardziej obawiałem się w resorcie. Ludzie o takim charakterze byli zdolni do wszystkiego, do największych czynów, ale i największych zbrodni.

- A może właśnie chodziło o to, by do tego doszło, i dlatego Kiszczak usunął Straszewskiego?

- Pana domysły są daleko idące. Znam Kiszczaka i nie wierzę, by mógł tak postąpić.

- Ryszard Matejewski, jedyny członek kierownictwa MSW w czasach „nowożytnych” - po 1956 roku - którego osądzono i skazano, za przemyt.

- Matejewski pochodził z Bydgoskiego, pracował w organach od samego początku, inteligentny, śmiały, awansował od stanowiska referenta do dyrektora Departamentu Śledczego, a potem drugiego (kontrywiad) dzięki swym umiejętnościom i talentom. Nikt nie mógł zarzucić mu nadużyć w śledztwie, bicia, prowokowania spraw. Znałem go wcześniej, ale kiedy zostałem wiceministrem, a on był dyrektorem, wytoczyła się między nami jakaś niewidzialna ściana. Spotykaliśmy się często, wódkę wypiliśmy, rozmawialiśmy o wielu intymnych sprawach, ale wyczuwałem z jego strony jakąś niechęć do mnie. Był jednym z najbardziej zaufanych Mieczysława Moczara, na jego wniosek został dyrektorem generalnym i wiceministrem.

Chyba w roku 1968 przyszedł pierwszy sygnał, że w resorcie jest wysoko uplasowany szpieg, a gdy byłem już ministrem, w 1971 r., przyszło potwierdzenie, z którego wynikało, że dostęp do tych materiałów może mieć dwadzieścia kilka osób w gmachu, od szczebla wicedyrektora pionu operacyjnego wzwyż. Powołałem specjalną grupę operacyjną, nie informując o tym wiceministrów. Ona ustaliła, że kilku oficerów resortu - naczelników i wicedyrektorów - zaangażowanych jest w handel złotem na wielką skalę. Wszczęto śledztwo, podczas którego popełnił samobójstwo albo został zgładzony pewien oficer, podpułkownik, który pracował w naszej placówce w Berlinie Zachodnim, Rozszyfrowano tę szajkę przemytniczą, usunąłem ich z MSW. Prokurator aresztował i w śledztwie oni zeznali, że ochraniał ich, i czerpał z tego korzyści, właśnie Matejewski. Nie przyznał się do niczego, ale dostał duży wyrok.

W związku z tą sprawą było dużo plotek, podejrzewano sprawę polityczną, mówiono o prowokacji, że mu to złoto podrzuciono, sprawa stanęła nawet na plenum KC. Zapowiedziałem, że wyciągniemy z tego wnioski i na tym sprawa się skończyła.

- Stanisław Filipiak, który, dla urozmaicenia, z bezpieczeństwa poszedł do murarki, a w pewnym czasie był jeszcze „klawiszem”.

- Tak, to też barwna postać! „Partyzant”, ulubieniec Moczara i mój dobry przyjaciel. Był ze mną na tym kursie w Moskwie jako zastępca szefa grupy do spraw partyjnych. Przed wyjazdem był zastępcą Brystygierowej, a po powrocie wszedł na jej miejsce. W 1965 roku Moczar wziął go na wiceministra, nadzorującego departamenty III i IV. Pech chciał, że miał romans - już jako wiceminister i generał. Doszło do komplikacji rodzinnych, sprawa stała się głośna i Moczar kazał mu wybierać: albo zostanie przy zonie, albo odejście z resortu. Wybrał to drugie. Skierowano go na dyrektora więziennictwa, którym był aż do roku 1980. Teraz jest właścicielem firmy budowlanej i zamożnym człowiekiem. I nie żałuje swej przeszłości w organach, ale - jak mówi - gdyby nie było tej przeszłości, byłoby lepiej.

- I wreszcie Józef Osek, na którym chyba skończymy. Ten z kolei z szefa wywiadu MSW przekwalifikował się na głównego celnika, nie tylko PRL, ale i Rzeczypospolitej.

- W bezpieczeństwie pracował od 1954 roku, poczynając od referenta, cały czas w pionie wywiadu. Był rezydentem wywiadu w Paryżu, Izraelu i Ameryce Południowej, zna języki. Gierek darzył go zaufaniem i parę razy zabierał w podróże do Francji. W swojej uczciwości Osek kilka razy zwracał uwagę Gierkowi na nieprawidłowości w gospodarce, na zadłużenie, wady licencji Berlieta i Massey-Fergusona. Narobił tym sobie wrogów. Po moim odejściu z Biura, w 1975 r., usunięto go z resortu - wniosek napisał Milewski skierowano do Głównego Urzędu Ceł na wiceprezesa. Szło mu tam bardzo dobrze, błyszczał kompetencją. Teraz, niedawno, już za Mazowieckiego, minister Świącicki zaplanował go na radcę handlowego ambasady polskiej w Izraelu, jako że Józef zna tam stosunki i język. Wobec czego prezes GUC wystąpił o zwolnienie go „w związku z przejściem do innej pracy”. Ale wniosek o radcostwo poszedł na tajną komisję i upadł, jako że nowa ekipa nie życzy sobie starych ubeków, nawet najbardziej kompetentnych. W ten sposób Józef Osek, jeden ze zdolniejszych ludzi, jakich znam, został na lodzie. Znam tę metodę sądów kapturowych nad kandydatami, bośmy robili dokładnie to samo.

- Co decydowało o szybkich awansach - i upadkach w aparacie MSW?

- Jeśli chodzi o stanowisko ministra spraw wewnętrznych, to najważniejsze było zaufanie I sekretarza, bo resort był narzędziem władzy partii. Natomiast wewnątrz aparatu awans zależał od wielu czynników. W pierwszym okresie mój awans wynikał stąd, że miałem czyste pochodzenie klasowe i przypuszczam, że w latach 1945-48 to było generalne kryterium. Samo kierownictwo resortu nie było robotnicze, więc szukano i awansowano robotników. Jedyne, co miałem niedobre, to nazwisko, ale go nie zmieniłem. Później decydowały: zdolności osobiste, ale w większym stopniu siła przebiecia, poparcie i to, kto jest czym człowiekiem. Wiadomo, że Moczar ciągnął partyzantów, Alster - grupę puławską, i tak dalej.

- A pan?

- Ja nie starałem się nikogo ciągnąć. Raczej stawiałem na zdolnych, inteligentnych, fachowych. Nie byłem za częstymi zmianami, nie starałem się oprzeć na żadnej konkretnej grupie - ani partyzanckiej, ani katowickiej - i, bo ja wiem, może był to błąd?

- Mimo to że kolejni trzej ministrowie - pan, Ociepka, Kowalczyk - byli z Katowickiego, w latach siedemdziesiątych bardzo szybko awansowała „grupa gdańska”: Pożoga, Bejm, Krzysztoporski, Zaczkowski, którzy byli aktywni na Wybrzeżu w Grudniu '70 i potem wszyscy zostali wiceministrami albo komendantami głównymi milicji. Jak to wytłumaczyć?

- Krzysztoporski i Zaczkowski nie pracowali w Gdańsku, obydwaj byli z Warszawy, i zostali oddelegowani ze mną do Gdańska w czasie wydarzeń. Bejm był wtedy komendantem miejskim w Gdyni, a Pożoga zastępcą szefa wojewódzkiego do spraw bezpieczeństwa. O Pożodze mówiłem. Bejma spotkałem tylko raz, wtedy w Gdańsku. W końcu lat siedemdziesiątych został komendantem głównym milicji. Też nie wiem, na jakiej zasadzie. Natomiast Krzysztoporski i Zaczkowski awansowali nie dlatego, że byli w Gdańsku, tylko ja ich wzięłem tam dlatego, że byli zdolni, więc awansowali.

Protokół czwarty

Warszawa, 16 lipca 1990 r., godz. 12:15-14:30

- Jak była zorganizowana ta wielka machina, gdy pan nią kierował?

- Jądrzem Ministerstwa Spraw Wewnętrznych były departamenty: I - wywiad, II - kontrwywiad, III - zajmujący się nadbudową polityczną i ochroną gospodarki, IV - Kościołem. W różnych okresach te departamenty łączyły się, dzieliły, zmieniały numerację (za wyjątkiem I i II), ale ich istota pozostała zasadniczo bez zmian. Oprócz tych departamentów operacyjnych były departamenty funkcjonalne - np. finansów, kadr, techniki, oraz biura: „B”, „C”, „W”, Biuro Nadzoru nad Kolegiami ds. Wykroczeń, Biuro Paszportów, Biuro Śledcze i inne. Łącznie w centrali MSW było 17 jednostek rangi departamentu.

- Z których każdy zatrudniał tyle osób, co ministerstwo. Wpadł mi kiedyś w rękę tajny dokument, z którego wynikało, że w roku 1986 sam tylko Departament Techniki MSW miał 890 etatów, więcej niż każde z cywilnych ministerstw.

- W latach osiemdziesiątych to się nadmiernie rozrosło. Kiedy ja byłem ministrem, to chyba nie liczyło tyle.

- Ale i pan ma swój udział w powiększaniu granic tego „państwa w państwie”. W październiku 1971 r., kiedy był pan ministrem. Wojska Ochrony Pogranicza zostały podporządkowane MSW.

- Były w tym resorcie już wcześniej. W 1965 r. dano je pod MON, ale nie była to decyzja słuszna.

- Co jeszcze wchodziło w skład MSW?

- Milicja, straż pożarna, Nadwiślańskie Jednostki Wojskowe, za moich czasów w sile jednej brygady, potem to się rozrosło oraz Biuro Ochrony Rządu.

- Jakie były relacje między poszczególnymi departamentami, stanowiącymi to „jądro operacyjne” MSW?

- Elitę aparatu bezpieczeństwa stanowi Departament I - wywiad. Tam pracują zupełnie inni ludzie, z zasady nie zajmujący się sprawami wewnętrznymi, tam nie mają wstępu ani dostępu inni funkcjonariusze resortu, nawet wiceministrowie nadzorujący inne pionki. Można powiedzieć, że jeżeli MSW jest „państwem w państwie”, to takim państwem wewnątrz MSW jest Departament I, zaś wewnątrz MON - II Zarząd Sztabu Generalnego.

W każdym z poszczególnych pionów i departamentów istniało coś takiego jak „patriotyzm pionu”. Niechętnie dopuszczano innych w wewnętrzne sprawy pionu, niechętnie przekazywano sobie informacje, zazdrościono innym sukcesów i cieszą się z cudzych wpadek.

- Czy poza Departamentem i pozostałe departamenty operacyjne były równe rangą?

- Tylko teoretycznie. W praktyce ranga pionu zależała od pozycji nadzorującego wiceministra. Jeżeli Moczar nadzorował jakiś pion, to on automatycznie stawał się ważny, bo mocna była pozycja Moczara.

- Czy pozycja wiceministra zależała tylko od liczby gwiazdek na jego generalskich pagonach?

- Niekoniecznie. Często wiceminister cywilny miał więcej do powiedzenia od generała czy pułkownika.

- Wiceminister cywilny? Byli tacy przed Krzysztofem Kozłowskim?

- Oczywiście. Również ministrowie. Wicha był cywilem i Ociepka, i Kowalczyk był cywilem, gdy zostawał ministrem, ale jego Gierek zaraz zrobił generałem, bo Kowalczyk bardzo się palił do munduro - wężyków, lampasów i gwiazdek. W latach sześćdziesiątych oprócz Wichy cywilami byli dwaj wiceministrowie - Antoni Alster i Zygfryd Sznek, a generałów w całym ministerstwie było chyba tylko sześciu: Moczar, Dobieszak, Komar, Muś, Dostojewski i ja.

- Kiedy zaczęła się w resorcie masowa produkcja generałów? W roku 1990, przed rozpadem tego imperium, generałem był co drugi szef wojewódzki, a w centrali resortu każdy dyrektor departamentu i wielu zastępców.

- To był proces późniejszy, głównie lat osiemdziesiątych.

- Czy wszystkie departamenty i pionki miały swe odpowiedniki w terenie, w województwach i powiatach, a potem rejonach?

- Z wyjątkiem Departamentu I, który był tylko w ministerstwie, a w nielicznych województwach miał po jednym-dwóch inspektorów, wszystkie inne pionki miały swoje wydziały w województwach i referaty w powiatach.

- Czy te „patriotyzmy pionów”, rywalizacja o sukcesy i o rangę w resortcie, przybierały również formy wzajemnego podkładania sobie świń? Jak w ogóle określiłby pan atmosferę wśród załogi owej „fabryki”?

- Najlepsza atmosfera była w pierwszych latach - biedy, głodu, ale oddania i uczciwości. Oczywiście myśmy wtedy dużo złego zrobili, ale było to zło w dobrej wierze. To nie było tak, że Stalin nam kazał. Owszem, on stworzył warunki, ale myśmy wierzyli, że służymy dobrej sprawie: socjalizmowi, narodowi, państwu. Poza tym - proszę pana... Ja, bezrobotny, biedny człowiek, a tu nagle mam taką władzę. Wie pan, co to jest poczucie władzy, poczucie mocy? Przychodzę do starosty, a on na próg wychodzi przywitać, komendant milicji się melduje, jedynie sekretarze partii nas się nie boją. Jest narada, człowiek może wejść i wyjść, kiedy chce... A jeżeli smak tej władzy pozna człowiek z kompleksem, który wójtowi się kłaniał, dla którego postrachem był posterunkowy, to ta władza dla niego może stać się narkotykiem.

Po tym okresie ideowego uniesienia zaczęły się w roku 1948 wzajemne animozje i podejrzenia. To był już okres obostrzonej czujności, walki o klasową czystość, walki z nacjonalizmem, socjalistycznym humanizmem. Był to okres umacniania dyktatury proletariatu. Późniejszy podział Ministerstwa Bezpieczeństwa na dwa resorty - MSW i Komitet Bezpieczeństwa - pogłębił różnice. Likwidacja komitetu i wchłonięcie go przez MSW po Październiku nie zlikwidowały tych animozji, bo na stanowiskach wiceministrów - Wicha się nie liczył, był ministrem honoris causa - zderzyły się dwie silne osobowości: Alster i Moczar. Moczar nadzorował departamenty I, II, zaś Alster III i IV. I tam była walka! W tym okresie - wiem to na pewno - było i podkradanie sobie spraw, i pilnowanie się wzajemne, i wzajemne obserwacje. Kto się w tym nie orientował, mógł bardzo łatwo wpaść w jakąś dziurę i nogę sobie złamać. Kiedy ja przyszedłem, ten okres już się kończył i Moczar był niekwestionowanym szefem resortu, którego nikt nie próbował podgryzać. Usunął zwolenników Alstera i w ten sposób - krzywdząc wielu ludzi - skonsolidował aparat. W latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych różne animozje zaczęły odżywać, ale nie wynikały już z motywacji ideowych czy politycznych, lecz z zazdrości, prywaty, głupoty, nienawiści. I rzeczywiście, zdarzało się nierzadko - jak pan to nazwał - podkładanie świń. Ale tak jest przecież w każdym resortcie, w każdej instytucji.

- Czy w ramach owej rywalizacji, podkradania spraw i podkładania świń dopuszczano się również grubych prowokacji, wyłażących poza gmach na Rakowieckiej? Mam konkretnie na myśli to, czy resort maczał palce w takich dramatach jak poznański Czerwiec '56 i Grudzień '70, czy w takich wstrząsach politycznych jak Marzec '68 i Sierpień '80? Rozumie pan oczywiście, że nie chodzi mi o cały resort, ale o jego wyspecjalizowane służby.

- Jeżeli chodzi panu o to, czy resort organizował jakieś zaburzenia, to muszę panu oświadczyć, że wszelkie masowe demonstracje i wystąpienia, jakie miały miejsce w Polsce Ludowej - może poza niedawną gwiazdzystą blokadą dróg przez rolników...

- ...ale to już nie w Polsce Ludowej...

- Właśnie. Otóż wszystkie te wydarzenia i spięcia były spontaniczne. Myśmy oczywiście zawsze krzyczeli, że to wrogi spisek, i tak dalej, ale to była nieprawda. Żadna organizacja, a zwłaszcza resortowa, nie byłaby w stanie takiej masy ludzi wyciągnąć na ulice. Powiem panu więcej: za każdym razem, kiedy myśmy chcieli coś takiego zorganizować, nic z tego nie wychodziło.

- Co na przykład chcieliście zorganizować?

- Na przykład w 1966 roku demonstrację przeciwko Wyszyńskiemu. Nic nie wyszło.

- Mielicie za małe możliwości, czy za słabe chęci? Przecież wasi ludzie byli wszędzie.

- W Polsce jest niezwykle trudno zorganizować coś „za”. A „przeciw” samo się organizuje.

- No a te wiecie-picie dla poparcia Gierka w 1976 r., a przedtem dla Gomułki po Marcu?

- Pan nie wie, jak było to zorganizowane? Przecież tam byli sami swoi. Tam nie było nikogo z zewnątrz, bez przepustki. To nie miało nic wspólnego ze spontanicznością. Poza tym co innego zebrać ludzi w sali czy nawet na stadionie, a co innego wypchnąć ich na ulicę. Na ulicę wychodzą sami.

- Chodzi mi również o to, czy resort miał swoje wtyczki w środowiskach opozycyjnych na taką skalę, że mógł kontrolować owe spontaniczne akcje „przeciw” lub sterować nimi. Słyszał pan, co mówił w Sejmie poseł Bartoszcze, zeując w stronę przywódców OKP? W związku z tym pytam konkretnie: czy rzeczywiście było „przeżarte agenturą” środowisko „komandosów”, KOR, ROPCio - bo o „Solidarności” już pan wiedzieć nie może.

- Sam pan powiedział, że nasi ludzie byli wszędzie. Natomiast konkretnych nazwisk naszych współpracowników - już to zresztą mówiłem - nie podam panu. I uważam za nieuczciwość to, co zrobili w NRD, podając nazwiska agentów „Stasi” do publicznej wiadomości. To się powinno zniszczyć, spalić i zamknąć raz na zawsze ten niechlubny okres.

- Pan zamknął ten okres w swoim życiu 11 grudnia 1971 roku, kiedy na zjeździe wybrano pana sekretarzem i członkiem politbiura, a nazajutrz resort miał już nowego ministra. Całkowita zmiana pracy, środowiska. Czy to było po to, by usunąć pana z MSW klasycznym kopniakiem w górę, czy po to, by faktycznie awansować?

- Jako minister nie byłem członkiem Biura, to po pierwsze. Może bym i został, gdybym Gierka o to poprosił, ale nie chciałem.

- Dlaczego? To musiało być przyjemne - siedzieć co tydzień wśród tuzina właścicieli PRL i decydować o losach trzydziestu milionów ludzi.

- Nie chciałem łamać zasady i nawiązywać do złych czasów. Niech pan popatrzy: przedtem tylko Radkiewicz, w wiadomym okresie, był członkiem Biura, potem tylko przez krótko Dworakowski jako przewodniczący Komitetu Bezpieczeństwa, Pszczołkowski już nie, i potem, aż do 1973 roku, ministra spraw wewnętrznych nie było w Biurze Politycznym. Gomułka tego nie chciał. Dlatego nie byli członkami Biura ani Wicha, ani Moczar, ani Światała, ani ja, ani Ociepka. Dopiero za Gierka Kowalczyk został członkiem Biura i tak to zostało już do końca.

- W jakich okolicznościach, jak, dlaczego, został pan sekretarzem KC?

- Już mówiłem o trzech przyczynach, dla których chciałem odejść z ministra. A ponieważ byłem bliskim towarzyszem Gierka, nie szło mnie zepchnąć gdzieś na bok - miałem dopiero 50 lat. Należało dać mi jakieś eksponowane stanowisko. W naszym systemie nie było funkcji zastępcy czy też drugiego sekretarza KC - były w województwach, ale nie w KC - ale zawsze było wiadomo, kto jest Numerem Dwa. U Bieruta był Berman, u Gomułki - Kliszko, ja miałem być kimś takim u Gierka. To, co ja przejąłem do nadzoru,

było moją inicjatywą. Zająłem się sprawami zagranicznymi, kadrowymi i nauką, no i zastępowałem Gierka, kiedy był nieobecny. Prowadziłem wówczas obrady Sekretariatu, rzadziej Biura.

- **Dlaczego „rzadziej Biura”?**

- Unikałem zwoływania posiedzeń Biura pod nieobecność Gierka, bo pretendował do tego Jaroszewicz. Staralem się unikać zadrażnień.

- **Proszę opisać swoje wejście do gmachu przy Nowym Świecie po dziewięciu latach spędzonych na Rakowieckiej.**

- I sekretarz i ważniejsi sekretarze mieli gabinety na pierwszym piętrze. Gierek życzył sobie, abym miał gabinet blisko niego. Nie było takiego pomieszczenia, więc zlecono dostosować do tego celu trzy pokoje - dwa zajmowane przez pracowników i jeden nie używany. Po kilku dniach przeniosłem się do nowego gabinetu.

- **Gdzie Gierek miał swój gabinet?**

- Tam, gdzie urzędował Gomułka: na pierwszym piętrze w południowym skrzydle. Od pierwszego dnia źle się czułem w tym gabinecie i w 1973 roku wpadłem na pomysł dobudowania osobnego skrzydła, które zajęłyby I sekretarz. Kłopot polegał na tym, że trzeba było zająć kawałek parku na zapleczu Muzeum Narodowego. Józef Kępa odradzał ten pomysł, ale Gierek nie dał za wygraną. Polecił urządzić gabinet na pierwszym piętrze, po zachodniej stronie gmachu. Wszyscy następni sekretarze tam urzędowali.

Na chwilę jeszcze wrócę do okoliczności przygotowywania mojego gabinetu.

Kiedy budowano mi go, na drugi czy trzeci dzień przyszedł do mnie kierownik pionu gospodarczego i powiedział: „Towarzyszu sekretarzu, znaleźliśmy szafę pancerną, we wnęce tego zapomnianego pokoju”. Obejrzałem. Rzeczywiście, we wnęce stoi szafa żelazna. Poleciłem ściągnąć z MSW specjalistę, który umie otwierać takie szafy, i on otworzył, przy mnie. Cała była zapchana papierami. Odruchowo wziąłem kilka do ręki, widzę datę - 1955 rok, zacząłem przeglądać. Dokumenty MSW, raporty, notatki, protokoły - pełna szafa.

- **Zorientował się pan, do kogo mogły należeć te papiery?**

- Stwierdziłem, że mogła to być szafa albo Bermiana, albo Bieruta.

- **I przez całe czternaście lat Gomułki, który urzędował za ścianą, nikt nie ruszył tego mebla?**

- No właśnie, mnie to też zdziwiło.

- **A na czym oparł pan wniosek dotyczący gospodarza szafy?**

- Na jej zawartości. Wiele materiałów było adresowanych na „tow. Tomasz”, a to był, jak wiadomo, pseudonim Bieruta. Kazałem to posegregować i część przekazać do archiwum, a część zniszczyć.

- **Co na przykład kazał pan zniszczyć?**

- Na przykład podsłuchy Gomułki, dotyczące jego spraw osobistych, nawet intymnych. Nie chciałem, żeby ktoś to czytał.

W tej szafie były też trzy listy Gomułki do Stalina. Bardzo ostre w formie. W pierwszym pisał w sprawie majątku na Ziemiach Odzyskanych - że żołnierze Armii Radzieckiej wbrew umowie wywożą sprzęt, ludzi, maszyny i on prosi o interwencję. W drugim - widocznie pierwszy list nie poskutkował - wraca do tej sprawy i grozi, że jeżeli to się nie skończy, nasze wojska otrzymają rozkaz blokowania i niedopuszczania do wywożenia. W trzecim nawiązuje do jakiejś rozmowy ze Stalinem na temat stosunków w Biurze Politycznym. A ponieważ były tam również notatki z wysłuchiwania Światły, który aresztował Gomułkę, ja myślę, że te listy zostały przysłane z Moskwy do aktu oskarżenia przeciwko Gomułce jako dowody obciążające. Zapakowałem te listy do teczki, na której napisałem: „Do wglądu każdego I sekretarza”. Chodziło o to, aby brali przykład z odwagi Gomułki.

- **Czy Gierek zapoznał się z tymi materiałami?**

- Przypuszczam, że się zapoznał. Nie było tego dużo.

- **A czy Gomułka dowiedział się o znalezieniu tych listów?**

- Dowiedział się ode mnie.

- **W jakich okolicznościach?**

- Latem 1972 roku Edward Gierek wyjechał na urlop do Bułgarii i zostawił mnie na gospodarstwie. Chyba 10 sierpnia zawiadomiono mnie, że Gomułka został przewieziony do kliniki i może być z nim źle. Prosiłem, żeby mnie informować na bieżąco o jego stanie zdrowia.

Po paru dniach poczułem się lepiej, zapytałem dyrektora kliniki, czy można z nim rozmawiać, powiedział, że tak, i pojechałem, nie uprzedzając Gomułki, bo by mnie nie przyjął. On wtedy z nikim nie chciał rozmawiać i nikt nie próbował rozmawiać z nim. Byłem jedynym członkiem Biura, który spotkał się z Wiesławem, i to tylko w ten sposób, że przez zaskoczenie.

- **Po prostu zapukał pan do jego pokoju w szpitalu i wszedł do środka?**

- Dosłownie. Z tym że zapukał dyrektor kliniki i powiedział Wiesławowi, że przyszedł towarzysz Szlachcic. „A po co?” - obruszył się Gomułka. „Porozmawiać z wami”. On nie zdążył nic odpowiedzieć, bo ja już wszedłem. Rozmowa wyglądała tak: Gomułka:

„Po coście tu przyszli? Kto was przysłał?” Ja: „Zapytać o wasze zdrowie. Przyszedłem z własnej woli, nikt mnie nie przysłał.” On:

„Tak wam to zdrowie drogie? A wyrzuciliście mnie”. Ja: „Towarzyszu Wiesławie, mam dla was ogromny szacunek” - i tak

zaczęłem łagodnie. A on z furią na mnie: „Ja wierzyłem w waszą lojalność, a wyście spisek przeciwko mnie uknuli”. Ja:

„Towarzyszu Wiesławie, żaden spisek, wy dobrze wiecie, że dramat na Wybrzeżu przerodziłby się w dramat ogólnonarodowy...” -

i próbuję wyjaśnić. Ale on w dalszym ciągu bardzo ostro mnie traktuje i nawet nie zaprasza, żebym siadł. Więc w pewnym momencie mówię tak: „Nikt mnie tu do was nie przysłał, przychodzę z własnej inicjatywy, zawsze miałem do was wielki szacunek i uznanie, ale ostatnio nabrałem jeszcze większego szacunku” - i mówię mu o tych listach. On się od razu zmienił, złagodniał, kawę zaproponował i żeśmy sobie porozmawiali.

- **Nie chciał zwrotu tych listów?**

- Gdyby powiedział mi „przynieście”, to bym mu je przyniósł. Ale nie chciał.

- **Potem spotykał się pan jeszcze z Gomułką?**

- Bardzo często z nim rozmawiałem, zawsze na urodziny, na Nowy Rok, na 1 maja, na święto 22 lipca dzwoniłem, składałem mu życzenia, posyłałem kwiaty, posyłałem mu „Kulturę” paryską, Biuletyn Specjalny, różne materiały. Między innymi posłałem mu

„Moje czternaście lat”, taką fałszywkę wspomnień Gomułki, która ukazała się w 1972 roku w Izraelu. On mi za każdym razem dziękował, wiele razy rozmawialiśmy, nic nie mówił na ten temat - i niech pan popatrzy: w roku 1982 napisał taki dość obrzydliwy list do KC, w którym stwierdził, że „Moje czternaście lat” było prowokacją grupy Gierka i Szlachcica, by go skompromitować. Może go ktoś napuścił, nie wiem, w każdym razie było to dla mnie bardzo nieprzyjemne, bo byłem wzywany w tej sprawie przez Komisję Kontroli Partyjnej.

- [Czy poza panem ktoś jeszcze z gierkowskiej ekipy utrzymywał kontakty z Gomułką?](#)

- Nikt. Gierek nigdy się z nim nie spotkał, a inni tylko oficjalnie. Gierek nawet nie zadzwonił, gdy Gomułka był ciężko chory, ani na pogrzeb nie przyjechał.

- [Dlaczego?](#)

- Trudno mi odpowiadać za innych. Przypuszczam, że się po prostu bali. A już najbardziej bał się go Gierek.

- [Kiedy rozmawiał pan z Gomułką po raz ostatni?](#)

- Chyba w 1981 roku. Zadzwoniłem, by złożyć mu życzenia pierwszomajowe. „Co tam słyhać?” - zapytał. „Byłem w Katowicach”. On nic. „Byłem w Katowicach u Gierka”. Nie podchwytuje tematu. „Widziałem się z Gierkiem” - powtarzam. I dodaję: „To tragiczna postać”. Na co Gomułka: „Głupia, nie tragiczna”. I tak wyglądała nasza ostatnia rozmowa.

- [Czy te wszystkie zabiegi Gierka o to, żeby go lubiano i chwalono, wynikały tylko z jego natury, czy też mogły wynikać z kompleksu Gomułki?](#)

- Z obu przyczyn. Gierek z natury lubił być lubiany, jak ktoś o nim coś złego powiedział, to się zaraz robił smutny, ale w jakimś sensie podświadomie naśladował Gomułkę, lecz jakby na odwrót. Gomułce jak ktoś zaczął opowiadać dobre rzeczy, to patrzył podejrzliwie i uważał, że nie mówi mu prawdy. U Gierka - odwrotnie. To były dwie skrajnie różne osobowości. Gomułka mógł czytać tysiące stron, a Gierek męczył się jak trzy przeczytał. Gomułka mógł siedzieć w gabinecie dzień i noc, a tamten wolał jeździć, pokazywać się, błyszczeć. Natomiast obaj byli w równym stopniu próżni i uważali się za najlepszych, nieomylnych i niezastąpionych.

- [Czy łatwo panu przyszła zmiana charakteru pracy - z policyjnej na polityczną?](#)

- Już kiedy byłem w Katowicach, starałem się być nie tylko policjantem, ale i działaczem politycznym. Starałem się dużo czasu spędzać między ludźmi, brałem udział w życiu politycznym województwa. Dlatego w KC było mi już łatwiej. Miałem jednak świadomość, że jestem obciążony skazą pracy w organach, która już do końca życia będzie na mnie ciążyć.

- [Czym przejawiała się ta skaza?](#)

- Na przykład pracując w organach nabrałem podświadomie jakiejś takiej manieri przesłuchiwania ludzi. Mnie się wydawało, że w rozmowie pytam o coś normalnie, a ludzie mi mówią - o, znów zaczął przesłuchiwać. Widać weszło mi to w krew. Poza tym miałem zwyczaj wszystko notować, nawet w czasie rozmowy, co kępowało ludzi. Kruczek zrobił mi kiedyś z tego zarzut na Biurze Politycznym. „Ty wszystko notujesz, nie wiem, gdzie ty to dajesz”. Odpaliłem mu: „Władek, ja notuję tylko ważniejsze rzeczy. Możesz być pewien, że z tego, co ty mówisz, ja nic nie notuję”.

- [Czy na przejściu z MSW do KC pan stracił czy zyskał finansowo?](#)

- Pobory sekretarza KC i członka Biura były większe, bo odpowiadały pensji wicepremiera. Natomiast skończyły się „kopertówki”. Ale z drugiej strony członek Biura, jeśli był posłem, otrzymywał diety, a jeśli nie był posłem, miał dodatek w wysokości diety, żeby było równo. W sumie finansowo wychodziłem tak samo. Nadal przysługiwał mi samochód z kierowcą, oficer ochrony, baza zaopatrzenia, ośrodki czasowe i wszystkie przywileje.

Istniała jednak zasadnicza różnica. Minister spraw wewnętrznych był jeden, a sekretarzy, członków Biura - dziesięciu. W MSW nie musiałem nikogo o nic pytać, sam decydowałem o wszystkim i jeśli na przykład chciałem gdzieś jechać, to brałem samochód i jechałem. A w KC musiałem uzyskać zgodę Gierka.

Jesienią 1971 r. był w Warszawie Andropow, ówczesny szef KG B.

Kiedy Gierek powiadomił go, że przejdę na sekretarza i członka Biura, Andropow powiedział: „Franciszek, po co ci to? Szef bezpieczeństwa jest ważniejszy od wszystkich członków Biura”.

- [On na pewno wiedział, co mówi. A kiedy realnie miał pan większy wpływ na to, co dzieje się w kraju: siedząc na Rakowieckiej czy na Nowym Świecie?](#)

- W sprawach konkretnych większą władzę miałem jako minister spraw wewnętrznych. I bardziej się ze mną liczone.

- [Czy może raczej bano?](#)

- Bano chyba też. Natomiast w sprawach ogólnych, wielkiej polityki, strategii więcej do powiedzenia miałem w „Białym Domu.” Ale przez krótko.

- [Jak się panu układały stosunki w „Białym Domu”?](#)

- Miałem koncepcję nadzorowania tych trzech pionów, w każdym z nich starałem się coś zrobić, jakiś ślad po sobie zostawić. Ale współpraca z nimi układała mi się różnie. Ministrem spraw zagranicznych był wtedy Stefan Olszowski, z którym najpierw układało mi się źle, a potem bardzo dobrze i zostaliśmy serdecznymi przyjaciółmi. Szefem kadr był Zygmunt Stępień, stary komunista, człowiek prostolinijny, nie orzeł, ale uczciwy, dobry wykonawca. Wydziałem Nauki kierował Romuald Jezierski, rogaty charakter, często wchodziliśmy w spiecia, ale jakoś nam się ułożyło. Kierownikiem Wydziału Zagranicznego był Ryszard Frelek, który raczej starał się mnie omijać i załatwiać sprawy z samym Gierkiem, prawdopodobnie już wiedział, że nosi buławę w tornistrze, i dlatego nigdy prawdziwej współpracy nie udało nam się nawiązać.

- [Az innymi sekretarzami i członkami Biura?](#)

- Jeśli jakieś gremium kierownicze liczy więcej niż pięciu członków, musi wytworzyć się wąskie kierownictwo. Tak było od początku - myśmy to stale potępiali, ale to było silniejsze. Przy Gierku też zaraz powstało takie wąskie kierownictwo, do którego należą” najpierw Gierek, ja, Babiuch, Kania, Jaruzelski, może Jaroszewicz.

- [Jaruzelski też?](#)

- Tak, od początku. Powiedziałbym, że spośród nas wszystkich Gierek z Jaruzelskim najbardziej się liczył.

- Bał się go? Jego czołgów, poparcia Greczki i całego Kremla czy małomówności?
- Bał może nie, ale miał przed nim respekt. Zawsze odnosił się do niego z szacunkiem. To samo zresztą Jaroszewicz. Wojciech też nigdy nie podważył opinii Gierka. Zaocznie tak, ale nie na Biurze. To samo było w drugą stronę, co bardzo odpowiadało Wojciechowi, który pragnął tylko jednego - by nikt mu nie wtrącał się do wojska.
- Kolejne „państwo w państwie”, o wiele większe niż wasze...
- Tak, niewątpliwie.
- Czy może już wtedy Jaruzelski zaczął planować zamach stanu i przewrót wojskowy?
- Nie potrafię na to odpowiedzieć.
- Ale na pewno potrafi pan odpowiedzieć, czy ów dystans i zasadę niewtrącania się do wojska narzucił Wojciech czy Edward.
- Uważam, że głównie Wojciech.
- Z kim spośród członków politbiura przyjaźnił się Wojciech?
- Ze mną, z Kanią i z Babiuchem. A więc z tą grupą, która tworzyła przemiany w Grudniu.
- W Grudniu '70, nie zaś 81.
- Tak, oczywiście. I ta grupa, w pierwszym okresie, była wąskim kierownictwem. Do tego dochodził jeszcze Jaroszewicz.
- Czy posiedzenia Biura wyglądały tak, jak je opisuje Rurarz - że była to, używając jego słów, „parodia nad parodiami”?
- Rzeczywiście, posiedzenia Biura tylko w pierwszym okresie były spontaniczne, a później zaczęło to być sztuczne. Nie podzielam w pełni opinii Rurarza, ale muszę przyznać, że te posiedzenia nie reprezentowały stylu rządzenia na miarę wielkiego państwa, jakim była Polska.
- Dziesiąte mocarstwo świata...
- No właśnie. A myśmy zajmowali się drobiazgami, a nierzadko intrygami personalnymi.
- Pierwsza z tych intryg została wymierzona przeciwko panu. Dość wcześnie, już w 1974 roku.
- Tak było. Zmontowano przeciwko mnie intrygę, po której musiałem zrezygnować z sekretarza, a potem odejść z Biura, z KC i iść na boczny tor.
- Jeszcze zanim pan zrezygnuje, niech pan ustosunkuje się do takiej opinii Rurarza, że Gierek nigdy nie miał poparcia ani MON, ani MSW. Wojsko na razie zostawmy w spokoju, chodzi o MSW. Knuło ono przeciwko Gierkowi?
- Gierek został pierwszym sekretarzem w dużym stopniu dzięki poparciu MON - personalnie: Jaruzelskiego - i MSW. I utrzymał się w pierwszym okresie tylko dzięki poparciu tych resortów. W tym okresie - pierwsze dwa, trzy lata - Jaruzelski miał dobry stosunek do Gierka, bo Gierek naprawdę był dobrym sekretarzem. Ale potem mu woda sodowa do głowy uderzyła.

Protokół piąty

Warszawa, 17 lipca 1990 r., godz. 12:40-14:50

- Czy polityka PZPR w latach siedemdziesiątych była w pewnym stopniu suwerenna czy stanowiła jedynie bezwolną transmisję dyspozycji płynących z Kremla?
- Za Breżniewa nasiliły się wzajemne kontakty między PZPR a KPZR, na różnych szczeblach. Chodziło o dowiedzenie światu, że jesteśmy wspólnotą, ale przede wszystkim ważyła na tym osobowość Breżniewa, który lubił spotkania, biesiady, popijawy. On, mogąc powiedzieć, wprowadził biesiadny styl rządzenia.
- Polskim przywódcą odpowiadał ten styl?
- A co, można było nie przyjąć zaproszenia, jak zapraszał sekretarz generalny? Inna rzecz, że Gierek był sybarytą i jemu takie biesiady też odpowiadały.
- Czy podczas tych biesiad tylko pito, czy czasem też coś omawiano?
- Bywały spotkania, podczas których nic nie omawiano i tylko ukazywał się jakiś suchy komunikat. Ale bywały i spotkania poważne, na przykład w sprawie Czechosłowacji czy Chin. Na szczycie dominował jednak styl biesiadny, i to w całym bloku. Natomiast wzmocniły się kontakty na niższych szczeblach, między sekretarzami, członkami Biura, kierownikami wydziałów. Mogę powiedzieć, że takich wezwań do Moskwy do poszczególnych towarzyszy było nawet nadmiernie dużo. W tym wyrażała się doktryna Breżniewa o ograniczonej suwerenności.
- Pan często był wzywany na Kreml przez swojego odpowiednika w kierownictwie KPZR?
- Nie miałem jednego odpowiednika. Sprawy kadrowe trzymał sekretarz Kapitonow, zagraniczne - Susłow i Ponomariew, a sprawami nauki zajmował się Demiczew. Nie miałem z nimi częstych kontaktów. W ciągu dwóch lat jako sekretarz i członek Biura byłem w Moskwie cztery razy. Raz z Gierkiem i Jaroszewiczem na uroczystościach 55-lecia rewolucji, raz tylko z Gierkiem i dwa razy sam. Odniosłem wrażenie, że nie jestem tam mile widziany. Nie mogę nadawać temu jakiejś rangi ideologicznej, ale był taki fakt, w 1973 roku, że miałem według programu zostać przyjęty przez Breżniewa - przyjęcie przez Breżniewa było swego rodzaju namaszczeniem. I na przykład Stefana Olszowskiego przyjmował za każdym razem, a dla mnie nie miał czasu.
- Kto jeszcze chętnie był przyjmowany przez Breżniewa?
- Na przykład Babiuch, no i przez cały czas minister obrony.
- Wojciech Jaruzelski?
- On miał bardzo dobre układy z Greczką, a wiele zależało od rekomendacji moskiewskiego odpowiednika. Ja takich bliskich stosunków ani z Susłowem, ani z innymi nie miałem.
- A często telefonowali do pana z Kremla?
- Nie miałem częstych telefonów. Inni mieli więcej. Natomiast wyjątkowo dokuczliwi byli instruktorzy w Wydziale Zagranicznym

KC KPZR, odpowiedzialni za dane kraje. Polską zajmował się starszy instruktor Kostikow, wyjątkowy kretyn. Jak Gierka wyrzucili z KC, to jego od razu zdjęli.

- [Czy na posiedzeniach Biura stawał problem relacji Polska-ZSRR, PZPR-KPZR, stopnia niezależności lub uzależnienia naszego kraju od Moskwy? Czy były na ten temat jakieś różnice zdań?](#)

- W polityce są pewne rzeczy, o których się nie mówi. Do takich należały problemy radzieckie. Nigdy na posiedzeniu Biura nie był poruszany temat naszych stosunków ze Związkiem Radzieckim jako kwestia zasadnicza, stawały jedynie tematy pochodne: umocnienia więzi, zacieśnienia współpracy, korzystania z doświadczeń. Ludzie rządzący wtedy Polską wiedzieli, że nie można występować przeciwko Związkowi Radzieckiemu, ale i nie należy wzmacniać serwilizmu. Nikt o tym jednak nie mówił.

- [Nawet w rozmowach w cztery oczy, między przyjaciółmi?](#)

- W mniejszych grupach, po dwóch, trzech, mówiło się, i to otwarcie. Natomiast w szerszych gronach - nigdy.

- [Skąd więc wzięła się owa słynna poprawka do konstytucji z 1976 roku, oddająca de facto Polskę w niewolę Związkowi Radzieckiemu, czego nie wpisano nawet w roku 1952, gdy Konstytucję PRL osobiście zatwierdzał Stalin?](#)

- Nie mogę zgodzić się ze stwierdzeniem „oddająca de facto Polskę w niewolę ZSRR”. Po tej poprawce nic się nie zmieniło. Proces uniezależniania Polski trwał od roku 1955, przebiegał z oporami, lecz nieustannie się pogłębiał i doprowadził do tego, co się stało. Natomiast owa poprawka to rzeczywiście bardzo ciekawy przypadek. Żeby go należycie pojąć, trzeba wyjść z podstawowej tezy: że stopień niezależności danego kraju zależał przede wszystkim od woli jego grupy przywódczej. Ekipa Gomułki - on sam, Kliszko, Moczar - wychodzili z założenia, że trzeba wzmacniać stosunki ze Związkiem Radzieckim na płaszczyźnie ekonomicznej, a zachować maksymalną niezależność, na ile to możliwe, na płaszczyźnie politycznej, międzynarodowej i w życiu wewnętrznym. Gierek - na odwrót.

- [Uzależnienie ideologiczne od Moskwy było ceną za gospodarcze i polityczne otwarcie na Zachód, za flirt z Francją, za wizyty trzech kolejnych prezydentów USA, za niemieckie kredyty?](#)

- Trafił pan w sedno. Rozmawiałem z Henry Kissingerem, który powiedział mi otwarcie, że Polska powinna być tym krajem, który przez odnowę gospodarki i podniesienie stopy życiowej będzie oddziaływał na inne kraje socjalistyczne, przede wszystkim na Związek Radziecki. Dlatego dano nam te pieniądze. Gierek i myśmy uważali, że Polska będzie niezależna tylko wtedy, gdy stanie się silnym gospodarczo krajem, dla którego ZSRR będzie dużym rynkiem zbytu.

- [Jednak od takiego założenia do zapisu w konstytucji o sojuszu ze Związkiem Radzieckim droga jeszcze daleka, nie uważa pan? Kto wymyślił ten zapis?](#)

- Wymyślił go osobiście Gierek. Nie było żadnych nacisków ze strony Moskwy. Przeciwnie, Rosjanie tego nie aprobowali i dziwili się - po co wy to robicie? Ale okoliczności całego tego zamieszania z konstytucją były o wiele bardziej złożone.

W roku 1974 Babiuch, Szydłak, Jabłoński i Łukaszewicz, żeby się podlizać Gierkowi - a zarazem spróbować go odsunąć od „Białego Domu” - wymyślili dla niego funkcję prezydenta. Chodziło o to, by zachowując funkcję pierwszego sekretarza, wyniósł się do Belwederu i mniej zajmował sprawami partyjnymi, które przejąłby Babiuch jako drugi sekretarz - tak jak to teraz jest w Moskwie. Gierek to zaaprobował i trzeba było wprowadzić poprawkę do konstytucji. A ponieważ nie pasowało robić poprawki dla samego Gierka, postanowiono dodać też poprawki o kierowniczej roli partii i o Związku Radzieckim. Zaczęto to przygotowywać, ale ktoś - nie wiem - może ostrzegł Gierka, że chodzi o to, aby go odsunąć. Gierek się wystraszył, zrezygnował z prezydentury i zostały tylko tamte dwie poprawki, pomyślane jako dodatek. Mówię to z dużym przybliżeniem, bo już wówczas byłem odsunięty. Dokładne kulisy i szczegóły najlepiej zna Henryk Jabłoński.

- [Jaką funkcję przewidziano dla niego, gdyby Gierek został prezydentem?](#)

- Myślę, że obiecano mu funkcję wiceprezydenta.

- [Jak pan ocenia Henryka Jabłońskiego?](#)

- Jako przedstawiciel PPS w kierownictwie partii był szanowany i ceniony za walory intelektualne, chociaż w hierarchii zajmował pozycję znacznie niższą niżby to wynikało z funkcji przewodniczącego Rady Państwa. Powinien być jeśli nie pierwszą, to drugą osobą po pierwszym sekretarzu, ale formalnie był trzecią osobą po premierze, zaś faktycznie był gdzieś tam piąty-szesty.

- [Tolerował tę sytuację?](#)

- Heniek nigdy nie wchodził w konflikty, godził się na wszystko. Był bardzo zgodny, wygodny i posłuszny. Nie znam przypadku, by kiedykolwiek sprzeciwiał się w sprawach zasadniczych. Dam panu taki charakterystyczny przykład, który znakomicie ilustruje postawę Jabłońskiego. W roku 1974 lecieliśmy razem z wizytą oficjalną do Mongolii i zatrzymaliśmy się w Moskwie, gdzie przyjął nas obiadem przewodniczący Rady Najwyższej - Podgorny. Podczas obiadu przekazał pogląd, że kierownictwo ZSRR jest zaniepokojone rosnącym zadłużeniem Polski. Po powrocie Jabłoński zrobił notatkę na Biuro Polityczne, w której opisał uwagi Podgornego. Na posiedzeniu Jaroszewicz zaatakował te uwagi, że są one fałszywe, że towarzysze radzieccy są źle poinformowani, i że to jest skandal, by członkowie kierownictwa niewłaściwie informowali na temat naszego zadłużenia. Jabłoński złożył prawie że samokrytykę, wycofał notatkę i za tydzień złożył nową, już bez tej uwagi.

- [Jaroszewicz często reagował w ten sposób?](#)

- Piotr godził się być pod wpływem autorytetu I sekretarza, choć miał bardzo duży wpływ na Gierka. Natomiast nie znosił, by ktoś naruszał jego pozycję pierwszego po Gierku. Chciał być premierem podlegającym tylko pierwszemu sekretarzowi. Stąd źle układało mu się z Jabłońskim, krzywo patrzył na mnie w pierwszym okresie, a po moim odsunięciu - na Babiucha.

- [Co pan może powiedzieć o Babiuchu?](#)

- Inteligentny, sprytny, znający jak mało kto mechanizm funkcjonowania aparatu partyjnego, gdzie zrobił całą karierę, co uważam za jego dużą wadę. Bardzo ambitny - może i dlatego, że nie jest wysokiego wzrostu. Konsekwentnie dążył do tego, by po Gierku zostać pierwszym sekretarzem i usuwał wszystkich, którzy mu w tym zawadzali, w tym i mnie.

- [Jan Szydłak.](#)

- Również wychowany w aparacie, najpierw w młodzieżowym, potem partyjnym. Nawet w gronie katowickim, w którym byli Józef Olszewski, ja, Gierek, Grudzień, nie był traktowany zbyt poważnie. Inteligentny, ale oportunistą, jego wadą było to, że nie umiał

zadnej tajemnicy utrzymać. Uważam, że był dobrym sekretarzem wojewódzkim w Poznaniu, natomiast w KC, nawet gdy został sekretarzem i członkiem Biura, nigdy nie odgrywał większej roli. Zawsze starał się być posłuszny temu, kto miał władzę i wpływy.

- Stanisław Kania. Wspominał pan o nim kilka razy, ale proszę o syntezę.

- Kania w dużym stopniu zawdzięcza swój awans Moczarowi, który go wysunął na stanowisko kierownika Wydziału Administracyjnego KC, a w 1980 r. był głównym orędownikiem Kania jako I sekretarza po Gierku. Inteligentny, ambitny, i w miarę awansowania coraz bardziej zarozumiały. Najpierw był w bliskiej przyjaźni z Babiuchem, a potem ich drogi się rozeszły. Chyba na zawsze. My też byliśmy przyjaciółmi z Kanią, ale po moim odsunięciu zostaliśmy nawet przeciwnikami. Jestem przekonany, że dużo złego zrobił przeciwko mnie, stąd ma wyrzuty sumienia. Gdy był I sekretarzem po IX Zjeździe, ujawnił, muszę przyznać, wiele zalet, na przykład w sprawie interwencji radzieckiej w Polsce. Nie powiedział „nie”, ale kręcił, oszukiwał, zwlekał - cały Kania. Mówiono mi, że po każdej krytycznej rozmowie z Breżniewem ostro popijał. Zawsze lubił popić, a po tych rozmowach szczególnie, żeby odprężyć nerwy.

- Jerzy Łukaszewicz.

- O tym człowieku mógłbym tylko same złe rzeczy powiedzieć, tak jak on o mnie tylko złe rzeczy mówił, a ponieważ nie żyje, zostawmy go w spokoju.

- Mieczysław Jagielski.

- Jeśli chodzi o gospodarkę, najinteligentniejszy i najwięcej wiedzący z nas wszystkich w Biurze Politycznym. To był rzeczywiście umysł uporządkowany, analityczny, ale nazbyt układny. Mietek nie chciał wojować, narażać się, co władza kazała, to wykonywał. Przy innym kierownictwie partii mógłby znacznie lepiej wykorzystać swe kwalifikacje.

- Z ówczesnego Biura został nam na deser Wojciech Jaruzelski.

- Był dobrym przyjacielem Moczara, dzięki któremu i my zostaliśmy przyjaciółmi, i to takimi, którym trudno się obejść bez siebie. Bardzo często rozmawialiśmy, spotykaliśmy się, na kawie, przy winie - miał u siebie zawsze bardzo dobre wina. W jego towarzystwie człowiek czuł się dobrze i odpoczywał. Był bardzo dobrym kolegą, lojalnym, ale zawsze na hamulcach. Nie lubił mówić o swojej przeszłości. Ja nigdy nie ukrywałem swego pochodzenia, a on się jakby go wstydził.

- A czy rzeczywiście, tak jak mówi Gierek, Jaruzelski nigdy nie zabierał głosu na posiedzeniach politbiura, a w dokumentach poprawiał tylko przecinki?

- Faktycznie unikał spraw gospodarczych. On uważał tak: wy mi się nie wtrącajcie do wojska, a ja nie będę się wtrącał w wasze sprawy.

- Z kim przyjaźnił się w politbiurze?

- Na początku lat siedemdziesiątych tworzyliśmy zwartą grupę w czwórce: ja, Kania, Babiuch i Wojciech. Natomiast z Edwardem Gierkiem zawsze był na dystans. Gierek mu czasem mówił „Wojciechu”, ale on zawsze do Gierka - „Towarzyszu pierwszy sekretarzu”. Edward próbował z nim parę razy przejść na „ty”, tak jak był z większością członków Biura, ale bez odzewu ze strony Wojciecha. Był chłodny, sztywny, można powiedzieć, że zawsze chodził na baczność. Nie chciał zaprzyjaźnić się z Gierkiem.

- Z panem Jaruzelski był na „ty”?

- Ze mną tak. Ale nie był skłonny rozszerzać tego grona. I kiedy byłem odsunięty, tylko on, Kępa i Tejchma nie odwrócili się ode mnie.

- A jakie Jaruzelski miał notowania na Kremlu?

- Ze wszystkich ministrów obrony narodowej krajów socjalistycznych Greczko darzył go największym zaufaniem.

- Czy do tej pory przyjaźni się pan z Jaruzelskim?

- Nie. Kiedy został premierem, to zaczęło się psuć, bo popadłem w konflikt z Szałajdą, który napuścił na mnie Wojciecha i Wojciech sam podpisał wniosek, żeby mnie zwolnić z funkcji prezesa PKNMU.

- A jak się dalej układało z Jaruzelskim, gdy pan był na emeryturze, a on na szczytach władzy?

- Pisałem, dzwoniłem do Wojciecha - nie przesadzam - chyba dwadzieścia razy, prosiłem o rozmowę, ale ani nie odpisywał, ani nie odpowiadał. Dopiero jakieś dwa miesiące temu, kiedy leżałem chory, nieoczekiwanie zaprosił mnie do siebie na kawę, ale nie mogłem skorzystać. Jest to zaproszenie ciągle aktualne i może wkrótce dojdzie do tej rozmowy, która, jak przewiduję, może być przykra i ostatnia. A byliśmy naprawdę dobrymi przyjaciółmi.

- Wychodzi na to, że wkrótce może znów się nimi staniecie, kiedy i on będzie emerytem.

- Być może.

- Jaki był powód pańskiego konfliktu z Gierkiem, popadnięcia w niełaskę i odsunięcia pana na boczny tor? Pamiętam, że po Warszawie chodziła wtedy pogłoska, iż wyleciał pan za to, że na jakimś zebraniu przyrównał pan przyjaźń polsko-radziecką do herbaty, która powinna być mocna, gorąca, ale nie przesłodzona. Na tym tle miano zarzucić panu niechęć do Wielkiego Brata, antyradzieckość, nacjonalizm i tak dalej. Natomiast Gierek przedstawia całkiem inne powody zwolnienia pana z funkcji sekretarza, pisząc, że pan intrygował, przynosił ubeckie metody prowokacji do Biura Politycznego i wszedł w konflikt ze wszystkimi. Jak było naprawdę i czy to pan sam puścił w obieg tę pogłoskę o herbacie, która stawiała pana w dość korzystnym świetle, zwłaszcza w kontekście późniejszych poprawek do konstytucji?

- Sprawa tej przysłowiowej już herbaty była tylko jednym z czynników, które złożyły się na mój kłopot. Bo były też i inne powody mojego rozejścia się z ekipą, które muszę obszerniej wyjaśnić.

Mówiłem już panu, że obrzydła mi praca w MSW i że bałem się odpowiedzialności za straszne w skutkach decyzje. Brzemień tej odpowiedzialności czułem też wchodząc do kierownictwa partii. Byłem najbliższym przyjacielem i orędownikiem Gierka, traktowano mnie jako Numer Dwa... Powiedziałem sobie kiedyś, że jeśli nie będę miał wpływu albo jeśli będzie to działalność sprzeczna z moimi poglądami na wspólne dobro, złożę rezygnację. Dopóki uważałem, że realizujemy prawidłową linię, że wyciągamy wnioski z grudniowego dramatu, dopóty pomagałem Gierkowi i wspierałem go. Pierwsze sygnały złego zaczęłem dostrzegać w połowie 1973 roku. Gierek zapomniał o tym, co było, poczuł się mocno w siodle, zaczął się zawrót głowy od sukcesów, zanikła krytyka, zastąpiło ją wychwalanie Gierka, które stało się codziennością w Biurze Politycznym. Wszystko, co

dobrze, musiało być osobistą zasługą Edwarda. Ostrzegałem Gierka, najpierw w cztery oczy, potem w rozmowach z innymi kolegami, potem na posiedzeniach Biura... W cztery oczy zgadzano się ze mną, ale na posiedzeniach Biura nikt mnie nie poparł. Tak zacząłem stawać się czarną owcą.

- [Czy to zadufanie Gierka wynikało z jego próżności, czy stąd, że miał klakierów, którzy kadzili mu i wbijali go w dumę?](#)

- Jedno i drugie. Każdy z nas jest lasy na pochwały, ale Gierek miał w sobie wyjątkowo dużo próżności i nie potrafił nad tym panować. Tę jego próżność podsycala propaganda, którą robił Łukaszewicz, ale także Szydłak, Kania i inni. Proszę sobie wyobrazić taką codzienną sytuację. Zaczyna się dzień. Gierek przychodzi do Biura, bierze „Trybunę Ludu” ze swoim zdjęciem na pierwszej stronie i artykułem wstępnym, jak to słusznie towarzysz Gierek powiedział, wystąpił, oglądnął. Za chwilę przychodzi Łukaszewicz: „Towarzyszu Edwardzie, dobrze ludzie o was mówią”. Przychodzi Babiuch - to samo. Dzwoni Szydłak i mówi, że są bardzo pozytywne odgłosy. A w południe tradycyjnie na kawę przychodzi Szlachcic i powiada: „Słuchaj, za dużo tego dobrego, nie powinno tak być”. I od razu zgrzyt.

Maciek Szczepański napisał w 1972 roku w „Trybunie Robotniczej” wazeliniański panegiryk - ze najlepszy, genialny, już historyczny pierwszy sekretarz. Gierkowi to się bardzo podobało. A ja powiedziałem: „Powinieneś zganić Szczepańskiego za to”, nie tylko go nie zganił, ale za pół roku Szczepański został prezesem telewizji.

Kiedyś Babiuch pojechał z Gierkiem na Kubę. Po powrocie, jak zawsze, zrobili notatkę na Biuro Polityczne, którą się w dyskusji uzupełnia, i w ramach tego uzupełnienia Babiuch zabrał głos: „Towarzysze, notatka nie oddaje wszystkiego. Towarzysz Gierek, wszyscy wiedzą, jest skromny i nie chce o tym mówić, ale ja w swoim partyjnym sumieniu muszę powiedzieć, że gdy słuchałem rozmowy Gierka z Fidelem, to odniosłem wrażenie, że rozmawia profesor Gierek ze studentem Fidelem Castro”. I tak było cały czas, przy każdej okazji. Byliśmy jednak ekipą o prowincjonalnej mentalności.

To była pierwsza przyczyna: klimat bałwochwalstwa na Biurze Politycznym. Druga, i chyba ważniejsza, to było zadłużenie. Ja odpowiadałem za stosunki z zagranicą i ostrzegałem, do czego prowadzi nadmierne zadłużenie. Profesor Pajestka zrobił mi wykres, z którego wynikało, że przy takim tempie zaciągania kredytów w roku 1990 będziemy zadłużeni na 50 mld dolarów. Takie obciążenie - mówiłem - musi Polskę zniszczyć albo uzależnić od Zachodu.

- [Rozumiem, że nie chcieli słuchać?](#)

- Nie chcieli. To burzyło im spokój. Zadłużenie to była główna moja obawa. Protestowałem, najpierw u Gierka, potem na Biurze Politycznym. Ale gdy raz postawiłem ten problem, Szydłak odpowiedział, że kierownictwo partii jest mądre i wie, co robi, a najlepszy dowód, że Zachód nam daje pieniądze.

Wiedząc to wszystko, 8 maja 1974 roku złożyłem rezygnację ze stanowiska sekretarza i członka Biura Politycznego i napisałem, dlaczego. Gierek nie zgodził się ze mną, dyskutowaliśmy długo, a ponieważ byliśmy jeszcze przyjaciółmi, zgodziłem się do zjazdu zostać członkiem Biura, żeby nie mówiono o jakimś rozłamie w kierownictwie, ale postanowiłem, że z Sekretariatu odejdę i zostanę wicepremierem.

- [Wicepremierów było już wtedy pół tuzina. Pan został kolejnym. Chyba się pan nie przemęczał?](#)

- Zaraz pierwszego dnia powiedziałem Jaroszewiczowi: „Piotrze, wiem, że jestem na straconej pozycji, proszę przydzielić mi takie resorty, które nie mają znaczenia”. Jaroszewicz przydzielił mi więc zdrowie i łączność. Tym się zajmowałem przez rok, do VII Zjazdu, potem mnie zwolniono i przeszedłem do pracy w PKNMiJ.

- [Jak układało się panu z Jaroszewiczem?](#)

- Dobrze. To jest, muszę powiedzieć, dzentelmen i pod tym względem różnił się od Gierka, Kani, Babiucha, Szydłaka. Również kiedy był internowany, zachował się najlepiej z nich.

- [A jak się panu układało z Wieczorkiem? Rurarz pisze, że miał pan kiedyś powiedzieć, że wykończy Wieczorka, za co ten zrewanżował się szykanami, w czasie, gdy pan pracował w URM. Na przykład - przydzielił panu „pokoik na poddaszu”.](#)

- Rurarz wszystko skłamał. Uważam Wieczorka za najlepszego i najsprawniejszego szefa Urzędu Rady Ministrów, jaki był w Polsce. Wszystkie sprawy, o które go prosiłem, załatwiał lojalnie. Skąd natomiast Rurarz mógł wyciągać wnioski, że mnie źle potraktowano? Otóż dano mi gabinet nie na pierwszym piętrze, gdzie wicepremierzy, ale na drugim, gdzie siedzieli dyrektorzy generalni. Poza tym w URM istniała niepisana reguła obiadów. Jaroszewicz i Jagielski mogli zapraszać, kogo chcieli, i żądać win i koniaków do obiadu. Inni wicepremierzy mogli zaprosić jedną - dwie osoby i zamówić jedynie wino. Ja należałem do trzeciej kategorii wicepremierów. Kiedy chciałem zaprosić kogoś na obiad, musiałem dzwonić do Wieczorka o zgodę i wino już mi nie przysługiwało, musiałem przynosić swoje z domu. Na tym, sądzę, Rurarz zbudował wniosek, że jestem najgorzej traktowany.

- [Ale przecież był pan członkiem politbiura. Oprócz pana byli nimi tylko Jaroszewicz i Jagielski.](#)

- Ale to nie miało żadnego znaczenia. Wśród wicepremierów należałem do ostatniego gatunku i daleko mi było do Jagielskiego.

- [Kim właściwie był Rurarz?](#)

- Po raz pierwszy usłyszałem o nim w środowisku Moczara, w okresie „partyzantki pokojowej”. Rurarz pochodził z Kielecczyny, a wpadł w oko Moczarowi, gdy jako I sekretarz POP PZPR w SGPiS skrytykował kilku ekonomistów o znanych nazwiskach. Mnie też się spodobał: był bardzo energiczny, na wszystko miał odpowiedź - taki besserwisser, ale w niezłym gatunku. Jak każdy człowiek niewielkiego wzrostu, miał duże ambicje. Kiedy Gierek został pierwszym sekretarzem, szukano dla niego doradcy ekonomicznego. I wtedy wojsko zaproponowało właśnie Rurarza. Mówiono mi, że jest on związany z wywiadem wojskowym. Kazałem sprawdzić w naszej kartotece i tam była adnotacja - „zastrzeżony przez II Zarząd Sztabu Generalnego”, czyli wiadomo było, że to ich człowiek. Jako osobisty doradca Gierka Rurarz był bardzo zarozumiały, próbował nawet narzucać różne rzeczy Gierkowi, czego ten nie lubił, aż wreszcie się go pozbył i wziął sobie potem Bożyka. Rurarza wysłano do Japonii na ambasadora. Krótko potem, jak zdradził, przyjechał do nas japoński profesor zajmujący się sprawami jakości. Podczas kolacji w „Victorii”, kiedy luźno rozmawialiśmy, zeszło na temat Rurarza. Wtedy jeden z tych Japończyków powiedział: „Jak on tak nienawidził ustroju i protestował przeciwko stanowi wojennemu, to powinien popełnić harakiri, a nie wyjeżdżać do Ameryki”.

- [Przy obiedzie zapomnieliśmy o herbacie. Namawiał pan do jej niesłodzenia, czy nie?](#)

- To były dwie sprawy, obie w marcu 1973 roku. Najpierw odbyła się narada sekretarzy wojewódzkich, na której wyniknęła taka kwestia. Otóż doszły mnie słuchy, że niektórzy sekretarze podczas urlopów w Związku Radzieckim opowiadają, że Gierek, Jaroszewicz i Szlachcic prowadzą mało pryncypialną politykę, na przykład wobec Kościola, i że oni robiliby to lepiej. Powiedział mi o tym sekretarz KC KPZR, Katuszew. Zwołaliśmy naradę pierwszych sekretarzy wojewódzkich i wygarnąłem im to: że nie wolno im prowadzić samodzielnej polityki, że to narusza autorytet partii, że takie rzeczy są niedopuszczalne - opieprzyłem ich, mówiąc krótko. Któryś z nich doniósł

O tym do Kostikowa, który zaraz napisał notatkę do Breżniewa, że Szlachcic zabrania kontaktów z towarzyszami radzieckimi. Dzień czy dwa później Stefan Olszowski zaprosił mnie do pałacyku MSZ przy ulicy Foksal na spotkanie z ambasadorami i dyrektorami departamentów. Zabrałem tam głos. Mówiłem o tych sekretarzach, mówiłem, że i niektórzy dyplomaci prowadzą własną politykę, że tak nie może być.

I w pewnym momencie powiedziałem, że przyjaźń polsko-radziecka powinna być jak dobra gruzińska herbata: mocna, gorąca i nie przesłodzona. „I nie przesładzajcie jej, towarzysze” - dodałem.

Jedno i drugie dotarło do Breżniewa i w tymże 1973 roku, na jesieni, odbyła się w Pradze narada, na której Breżniew poprosił na bok Gierka i powiedział mu, że Szlachcic to nacjonalista.

- **Jak zareagował Gierek?**

- Powiedział mi, że mnie bronił, że ma do mnie zaufanie i że są to kłamstwa. Ale wiedziałem już, że mam kreskę.

Do tego doszło jeszcze jedno zdarzenie. Jako członek Biura opiekowałem się Krakowem, gdzie pierwszym sekretarzem był Józek Klasa. Zaprosili mnie kiedyś, była zakrapiana kolacja, podczas której ktoś tam wniósł moje zdrowie jako krakusa, a ktoś inny powiedział, że powinienem być pierwszym sekretarzem. To się doniosło najpierw do Grudnia do Katowic, a potem do Gierka. No i zaraz rozeszło się, że ja jakiś spisek montuję w Krakowie przeciwko Gierkowi, że chcę zająć jego miejsce. W wyniku tego wszystkiego zacząłem być odsuwany, tracić grunt.

- **Jak to wyglądało w praktyce, na przykład podczas posiedzeń politbiura?**

- W początkowym okresie miałem władzę prawie taką jak Gierek, potem coraz mniejszą, a na końcu, kiedy byłem wicepremierem, a jeszcze ostatnie miesiące siedziałem w Biurze, było to bardzo przykre. Przychodzę na posiedzenie, jest tam już piętnastu członków Biura, sekretarze, zaproszeni goście. Stoją w grupkach po kilka osób, rozmawiają, ja podchodzę - za parę minut już nie ma nikogo, stoję sam. Podchodzę do następnej grupki - to samo. Zaczynam z kimś rozmawiać - moim przyjacielem - i widzę, że on tylko patrzy, czy Gierek nie widzi. Potem już przychodziłem punktualnie, o dziesiątej, kiedy zaczynało się Biuro, żeby nie odczuwać tego wszystkiego. Tylko przerwy były dla mnie bardzo męczące, bo siedziałem sam, nikt nie chciał ze mną rozmawiać.

A w czasie posiedzeń było tak, że kiedy ja zabierałem głos, stwierdzając, na przykład, że w tym roku zbiory zboża mamy bardzo dobre, to zaraz włączał się ktoś i mówił: „To prawda, że zbiory mamy bardzo dobre, ale towarzysz Szlachcic nie podkreślił, że to zasługa towarzysza Gierka i partii”.

- **Wróć do tego, co o przyczynie pańskiego odejścia mówił Gierek: „Szlachcic, wieloletni pracownik bezpieczeństwa, tak nasiąkł panującymi tam obyczajami i, co gorsza, metodami pracy, że nie mógł się obyć bez nich również i w partii. Pierwsze przykre odkrycie dotyczyło dwóch podsuniętych mi przez niego sekretarek. Miały one, jak się okazało, obowiązek donosić Szlachcicowi o każdym moim kroku. Kontrolując w ten właśnie niewyszukany sposób moje wszelkie kontakty, w pewnym momencie zapragnął nimi sterować...”** Podsunął pan Gierkowi sekretarki?

- Nikogo nie podsunąłem.

- **Dalej Gierek mówi: „Negatywnie wpływał on - czyli pan - na całe kierownictwo partii, usurpując sobie wewnątrz Biura Politycznego nie istniejącą w gruncie rzeczy funkcję II sekretarza Komitetu Centralnego...”** Był pan uzurpatorem?

- Mówiłem już, że sam Gierek nadał mi rangę Drugiego, zobowiązując mnie, bym go zastępował podczas jego nieobecności. W tym, co opowiada o mnie Gierek w „Przerwanej dekadzie”, nie ma słowa prawdy.

- **Pan mówi tak. Gierek inaczej. Komu wierzyć? Trzeba by was chyba stawić sobie do oczu, żeby dowiedzieć się prawdy.**

- Ale ja mam dowód na to, że Gierek kłamie. Zupełnie co innego mówił o mnie w 1981 roku. Wezwany przez komisję Grabskiego, tak mówił o przyczynach usunięcia Szlachcica z władz partyjnych: „W ogóle towarzysze, to ja uważam, że jeśli już mówimy o problemach, które zaważyły na niektórych sprawach naszego kraju, to wydaje mi się, że głównym błędem w naszym działaniu była gdzieś od 1974 czy 1975 roku niekonsekwentna polityka kadrowa. Ja czuję wobec siebie samego, mam, noszę w sobie poczucie winy, że zgodziłem się na wymanewrowanie - używam tego słowa z całą konsekwencją i świadomością - towarzysza Szlachcica, który był odpowiedzialny za kadry w Komitecie Centralnym i który niektórym towarzyszom nie podobał się. Stworzyła się mafia, która w różny sposób podcinała Szlachcica, żeby tutaj jego nie było. To była towarzysze mafia (...) A co się tyczy Szlachcica, powiadam, ja noszę w sobie do siebie samego żal, że pozwoliłem się w tę całą historię wmanewrować. Prawdopodobnie gdyby on był, to można byłoby wielu rzeczy uniknąć. Ja powiem wam, dlaczego. Bo on nie był człowiekiem zakłamanym. On mówił mi prawdę, mówił prawdę, która bolała. Dobrze, że mówił prawdę. I on mówił prawdę nie tylko mnie. Dotąd kiedy on mówił tylko do mnie, było wszystko w porządku, jeśli natomiast tę prawdę wyrażał wobec innych towarzyszy, to natychmiast powodowało określoną reakcję i określone działania. Do podrzucania różnego rodzaju świństw, różnego rodzaju historyjek dezawuuujących człowieka, i mówię jeszcze raz, żeby tę sprawę skończyć. Jeśli udało mi się - nie wiem, czy w pełni - wyrównać w jakiś sposób mój stosunek z tow. Grabskim czy ze Stefanem Olszowskim, to mam żal, że nie udało się tego rachunku wyrównać w stosunku do Franka Szlachcica, którego zawsze uważałem i uważam za przyjaciela”. Ta wypowiedź znajduje się w materiałach komisji, każdy może się z nią zapoznać. Zagadką dla mnie pozostanie, dlaczego osiem czy dziewięć lat później powymyślał o mnie takie rzeczy.

- **Charakteryzując Babiucha powiedział pan, że dążąc do władzy pousuwał różnych ludzi, w tym i pana. Czy to znaczy, że duży Edward posłużył się małym, żeby pana usunąć, bo jemu samemu nie wypadało ze względu na waszą przyjaźń, czy też była to autorska intryga Babiucha, żeby po pańskich plecach wspiąć się bliżej Gierka?**

- Gdyby Gierek nie chciał, to by się tak nie stało. Ale główna wina za to leży po stronie Kani i Babiucha. Oni najpierw zgodnie zwalczyli swoich przeciwników, a potem sami się pokłócili. Nie sądzę, żeby sam Gierek był inicjatorem. On raczej dał się wciągnąć

w tę intrygę. Pierwsze skrzypce grał w niej Babiuch, który chciał zostać pierwszym sekretarzem, i był bardzo blisko tego, ale przegrał z Kanią, którego nie docenił, bo zawsze uważał go za prymitywa.

- Czy będąc ministrem spraw wewnętrznych informował pan lojalnie o wszystkim Gierka i Biuro Polityczne, czy też filtrował pan informacje i pewne rzeczy odkładał sobie na bok?

- Każdy minister spraw wewnętrznych, który nie jest skrajnym przyglupem, zawsze ma możliwość manipulowania informacją: co przekazać, a czego nie, co wystrzyżć, a czego nie eksponować. Ja też miałem takie możliwości, ale przyjąłem zasadę, aby członkowie Biura wiedzieli wszystko. Ponieważ po grudniowym dramacie niektórzy tłumaczyli się, że nie wiedzieli - na przykład Kruczek - wyciągnąłem z tego wnioski i opracowałem system informacji dziennej dla członków Biura Politycznego. Ale oczywiście niektóre - podkreślam: niektóre informacje - otrzymywali tylko Gierek i Kania.

Natomiast w latach siedemdziesiątych, kiedy ministrem był Kowalczyk, zmienił się w sposób istotny system informacji. Układano je w ten sposób, że zawsze meldunki rozpoczynały się pozytywnymi - tu jest dobrze, tam jeszcze lepiej, ten pochwalił, ta gazeta napisała słusznie - i to było pół strony dobroci, a potem zaczynała się prawda.

- Wprowadzono tę zmianę specjalnie dla Gierka, który nie lubił złych informacji?

- Przypuszczam, że tak.

- A czy później, po odejściu z MSW, kiedy został pan sekretarzem, otrzymywał pan od swoich zaufanych ludzi z resortu jakieś dodatkowe, poufne informacje ponad te, które przynosiła informacja dzienna?

- W pierwszym okresie ministrowie Ociepka i Kowalczyk sami zabiegali o to, bym ich przyjął tytułem zaszczości, bo przecież nie nadzorowałem MSW, ale to trwało nie dłużej niż rok. Potem to się skończyło i nawet jeśli ktoś chciał mnie o czymś poinformować, ja tego unikałem, bo wiedziałem, że ci informatorzy mogą ponieść surowe konsekwencje. I rzeczywiście, wszystkich tych, których podejrzewano, że mają ze mną kontakty - tak zwanych franciszków- usunięto z MSW, z MSZ i z wojska. Dosłownie wszystkich, jest tego długa lista. Mimo to wielu pracowników na stanowiskach dyrektorskich nigdy nie zerwało ze mną. Zawsze przy okazji urodzin czy świąt składali mi życzenia, nie unikali rozmów, nie wypierali się mnie. I muszę powiedzieć, że kilku z nich poinformowało mnie o bardzo ważnych sprawach, które mnie dotyczyły, konkretnie, że w 1977 r. próbowano zrobić mi święństwo.

- Jakie święństwo?

- Ostrzeżono mnie, że ktoś ma zgłosić się do mnie i nawiązać rozmowę, która zostanie nagrana jako potwierdzenie mojej frakcyjnej działalności. I rzeczywiście, po dwóch tygodniach taki fakt nastąpił, a ja, już uprzedzony, specjalnie tendencyjnie prowadziłem tę rozmowę. Mówiłem dużo i dobrze o Gierku i o Kani, a bardzo źle o Kowalczyku. I byłem ciekaw, w jaki sposób Kowalczyk przekaze to Gierkowi.

Protokół szósty

Warszawa, 19 lipca 1990 r., godz. 10:20-12:30

- Czy przed laty, kiedy zaczął się pan wspinać do góry, przewidywał pan, że upadek ze szczytów władzy może być tak bolesny?

- Znałem wypadki usuwania, odsuwania i ostracyzmu. W dawniejszych czasach kończyło to się więzieniem, a nawet gorzej. Moje odsunięcie nie było tak tragiczne, lecz także nieprzyjemne.

- Ale to przecież pan umacniał system, w którym nie było normalne również usuwanie ze stanowisk.

- Tak. Niestety.

- Pan był pierwszym odsuniętym z ekipy gierkowskiej. Po panu poszli w odstawkę inni.

- Tak. Tejchma, Olszowski, Kępa...

- Czy ich odsuwanie przebiegało w podobny sposób?

- Formy były różne, istota pozostała ta sama, ale mój przypadek był najbardziej drastyczny.

- Dlaczego pan tak uważa?

- Bo stworzono całą konstrukcję po to, ażeby mnie usunąć, niby nie usuwając. To była skrajna hipokryzja.

- Nie rozumiem.

- Więc najpierw przesunięto mnie na wicepremiera, nie usuwając z Biura. Potem był VII Zjazd, na który nie zostałem delegatem, żeby nie mógł wejść do KC, a więc i do Biura. Po zjeździe były wybory, gdzie już nie znalazłem się na liście posłów. Po wyborach, w nowym Sejmie, Jaroszewicz tworzył nowy rząd, w którym nie przewidziano dla mnie miejsca. Piotr mnie wtedy spytał, co zamierzam robić. „A co proponujecie?” Więc zaproponował, żebym był ambasadorem w Rzymie lub w Japonii. „To są dobre miejsca, warunki są dobre, oderwiesz się” - mówił. On mi nie tylko proponował, ale mnie namawiał. Odmówiłem.

- Dlaczego?

- Z prostej przyczyny. Uważałem, że byli członkowie Biura i sekretarze KC nie powinni być ambasadarami, bo to obniża rangę dyplomacji i autorytet partii. Kiedy prowadziłem politykę kadrową, kilka razy wygłosiłem ten pogląd i teraz nie chciałem, żeby mi zarzucano, że gadałem co innego, a teraz dałem się przekabacić dla paru dolarów.

- A pan sam miał jakieś propozycje albo życzenia względem swojej przyszłej pracy?

- Kiedy odchodziłem z sekretarza i Gierek spytał mnie, co chciałbym robić, powiedziałem, że chciałbym być ministrem finansów. Już od pewnego czasu uczyłem się finansów, interesował mnie obieg pieniądza i organizacja skarbu państwa. Gdybym był tym ministrem, może udałoby się nie dopuścić do tak wielkiego zadłużenia. Ale on powiedział - nie, ministrem finansów nie możesz być, tam już są lepsi, i zaproponował mi wtedy tego wicepremiera. Teraz też chciałem na ten temat porozmawiać z Gierkiem i poprosiłem Jaroszewicza, żeby ułatwił mi rozmowę. Piotr obiecał, ale po paru dniach odpowiedział mi, że Gierek mnie nie

przyjmie. I nie przyjął. I potem już nigdy ze mną nie chciał rozmawiać, dopóki był I sekretarzem. Chyba z dziesięć razy dzwoniłem, prosiłem, błagałem, ale nie chciał. Dopiero kiedy został usunięty, sam zadzwonił do mnie.

Więc na ambasadora nie chciałem. Gierek mnie nie przyjął, aż Jaroszewicz, gdzieś po dwóch tygodniach zawieszenia w próżni, zaproponował mi stanowisko prezesa Polskiego Komitetu Normalizacji Miar i Jakości. Nie znałem tej instytucji, ale zajmując się nauką w Biurze Politycznym wiedziałem mniej więcej, czym się zajmuje. Powiedział, że jest tam prezes Adamski, „ale my go usuniemy, damy gdzie indziej i zrobimy dla ciebie miejsce”.

Nie zgodziłem się, bo miałbym niedobre wejście do tej instytucji, i zaproponowałem, żeby Adamskiego zostawić na stanowisku pierwszego zastępcy prezesa. I on poszedł na to, zostawił mu pensję prezesa i wszystkie przywileje.

- **Jak sprawdzał się taki układ?**

- Układało nam się bardzo dobrze, był lojalny, koleżeński, bardzo cenię sobie z nim współpracę. Tak trafiłem do PKNMiJ, gdzie przepracowałem dziesięć lat.

- **Kiedy pan tam przyszedł?**

- Chyba 10 maja 1976 roku. Była to dla mnie zupełnie nowa rzecz. Pracowałem dotąd w MSW, w KC, w Radzie Ministrów i prosto z politbiura przechodzę do takiej instytucji, która nie była nawet ministerstwem. Straciłem od razu bardzo dużo, i pensji, i tych wszystkich przywilejów: bazę zaopatrzenia i samochód, i ochronę, i kierowcę, i telefon rządowy w mieszkaniu, i dodatki, i „kopertówki”. Nie chcę obliczać, ale to była chyba połowa dochodów. Od razu poczułem, jak to jest. Już nie miałem prawa korzystać z Łańska, nie przywozili mi już zakupów do domu, i to było, muszę powiedzieć, przykre. Odczułem ten szatański wymysł Stalina: dać przywileje ludziom, żeby trzymali się stanowiska, żeby wiedzieli, co w razie czego utracą. Naprawdę nie jest łatwo z tego zrezygnować. Toteż nic dziwnego, że w naszej historii wcale nie było tak dużo dobrowolnych dymisji. Policzymy, kto je złożył: Rapacki, Ochab, Albrecht, ja - i to chyba wszystko w historii czterdziestolecia.

- **Jak pana tam przyjęto?**

- Początkowo nieufnie, co jest zrozumiałe, bo znali moją przeszłość. Ale starałem się to przełamywać poprzez osobiste rozmowy i kontakty. Nie siedziałem za biurkiem, ale starałem się być między ludźmi, i to się chyba udało. Potem pracowało mi się tam już bardzo dobrze. To była instytucja zupełnie inna od poprzednich. Powiedziałbym - normalna. W poprzednich moich miejscach upartyjnienie wynosiło praktycznie sto procent, a tutaj trzydzieści. Pracowali różni ludzie, w tym spora część takich, którzy mieli przeszłość, z punktu widzenia MSW, złą. Rozmawiałem z nimi, poznałem ich racje, dużo się nauczyłem i ogólnie biorąc ten okres uważam jeśli nie za najlepszy w moim życiu, to w każdym razie bardzo dobry. Wreszcie znalazłem się w normalnej rzeczywistości między normalnymi ludźmi. Nie było rozrób, prowokacji, podgryzań, odprężyłem się tam, odpocząłem i jestem za to bardzo wdzięczny pracownikom tej instytucji. Oni chyba też mnie dobrze wspominają, może pan iść i popytać. Chyba czterdziestu osobom zdjąłem zastrzeżenia paszportowe, bo znałem ten mechanizm i wiedziałem, jak lekkomyślnie pozbawia się ludzi paszportów.

- **Nic nie mąciło tej sielanki?**

- Uśmieje się pan, ale najbardziej psuli i zakłócali atmosferę dwaj oficerowie bezpieczeństwa, opiekujący się tą instytucją.

- **Chyba strzelali panu do dacha, jako swojemu byłemu szefowi.**

- Nic podobnego. Ja już nie byłem ich szefem, ale podopiecznym i w pewnym sensie przeciwnikiem, któremu trzeba patrzeć na ręce. Płatali się po instytucji, rozmawiali, zbierali informacje, czytali sprawozdania, głównie przeszkadzali i psuli powietrze. Mnie osobiście unikali, ale innych nękali. Ich destrukcyjna działalność wzmożła się jeszcze bardziej w 1978 roku, kiedy przyjąłem do pracy Wujca.

- **Henryka?**

- Tak, Henryka Wujca, obecnego posła, który zaangażowany już był w KOR. Wyrzucili go z poprzedniej pracy, bo był aresztowany, i po wyjściu zgłosił się do nas. Przyszedł do mnie kadrowiec i mówi: „Zgłosił się magister inżynier Henryk Wujec, dobry fachowiec, ale obciążony”. Ja mówię: „Proszę go przyjąć”. No i się zaczęło. Nie do mnie, ale do szefa kadr, do sekretarza POP, do zastępców stale ktoś dzwonił z MSW - dokąd będziecie trzymać tego Wujca? I oni przychodzili z tym do mnie. A ja odpowiadałem: „Po pierwsze, musi do mnie Kowalczyk zadzwonić, a po drugie, musi przedstawić dowody, że Wujec na moim terenie prowadzi wrogą działalność. Tak im odpowiadajcie”. No i Kowalczyk nie zadzwonił.

Ale niech pan popatrzy na cały mechanizm. Tacy kręcą się, ludzie się boją, jak chcą kogoś awansować, to pytają takiego oficera, czy nie ma zastrzeżeń, ludzie patrzą na siebie nieufnie, bo nie wiedzą, kogo oni już zwerbowali, a kogo jeszcze zwerbują. Nad instytucją ciąży taka, jak ją nazywam, niewiedzialna ręka władzy.

- **Nie znał pan jej wcześniej? Przecież pan przez wiele lat nią poruszał!**

- Ale nie znałem tego mechanizmu z drugiej strony. Nie wiedziałem, jakie straszne to przynosi skutki. Jak paraliżuje wolę, chęć działania. Ja uważam, że ta działalność, którą MSW prowadziło przez 45 lat, w istotny sposób zahamowała rozwój, postęp techniczny i cywilizacyjny. Stępiła śmiałość i odwagę działania. Tworzenie zastrzeżeń dostępu do tajemnic, system zezwalania na dostęp do informacji i na wyjazdy zagraniczne, tacy nadzorcy ze strony SB-to wszystko było istotnym czynnikiem hamowania rozwoju w całym obozie socjalistycznym. Lęk inżynierów, ludzi nauki, organizatorów gospodarki był główną przeszkodą w twórczości, inwencji, innowacyjności i przedsiębiorczości.

- **W ogóle na jakiej podstawie prawnej chodzili tacy faceci po tysiącach instytucji i przedsiębiorstwach w Polsce?**

- Powiem panu - na żadnej. Bo to mieściło się w ramach działalności operacyjnej resortu.

- **Dobrze. A więc szef instytucji czy dyrektor fabryki mógł takiego gościa, który przyszedł mu się bezprawnie kręcić po terenie, wyrzucić za bramę. A jeszcze lepiej - w ogóle go nie wpuścić, bo na jakiej podstawie?**

- Mógł. Ale to się zdarzało bardzo rzadko i na ogół kończyło bardzo źle.

- **Dla dyrektora?**

- Dla dyrektora.

- **W komitecie normalizacji zastał pana Sierpień i okres „Solidarności”.**

- Tak. Powstała tam silna „Solidarność”, złożona z rozsądnych ludzi i skupiająca chyba większość pracowników.

- Ile osób tam pracowało?

- Około 500.

- Nie chcieli pana wywieźć na taczkach, jako współodpowiedzialnego za to wszystko, przeciwko czemu powstała „Solidarność”?

- Nie chcieli. Nikt nie zarzucił mi pracy w MSW, nikt nie zażądał, aby mnie usunąć. Ułożyłem sobie z moją „Solidarnością” dobre stosunki, prosiłem ich tylko, aby nie było wystąpień antyradzieckich. Przeszliśmy przez te wszystkie wstrząsy w spokoju i w zgodzie.

- Chyba ta zgoda skończyła się, kiedy nastąpił stan wojenny?

- W pierwszym dniu stanu wojennego przysłała decyzja zwolnienia z pracy trzech pracowników. Żałuję, że byłem posłuszny.

- W czasie stanu wojennego Wujec został aresztowany i sąd zwrócił się o opinię z miejsca pracy. Mimo nacisków owej niewidzialnej ręki, dyrektor Departamentu Kadr, Leszek Pęczak, wydał dobrą i obiektywną opinię. Wujec był zdolnym inżynierem i solidnym pracownikiem. W 1983 roku po zwolnieniu z więzienia zgłosił się w miejscu pracy. Kierownik działu był tak naciskany przez „opiekunów”, że musiałem mu wydać pisemne polecenie przyjęcia.

- Czy obalenie Gierka zmieniło pańską sytuację polityczną?

- W pewnym stopniu. Od usunięcia mnie aż do 1980 roku ani razu nie zostałem zaproszony do KC, na żadne plenum ani naradę gospodarczą. Mało tego, nikt nie był zainteresowany tym, co mam do powiedzenia. Pisałem masę notatek i memoriałów w sprawie jakości, organizacji i postępu technicznego, dzwoniłem, alarmowałem, że sytuacja się pogarsza, i nikt mnie nie zaprosił na rozmowę ani nie odpowiedział. Dopiero kiedy sekretarzem od nauki został profesor Roman Ney, pierwszy raz, po czterech latach, zaprosił mnie do gmachu i wysłuchał moich opinii i propozycji.

- Przewodniej siły nie interesował problem jakości, tylko ilość?

- Może i tam kogoś interesował, ale bali się Babiucha, który zabronił mi wstępu do KC.

- Rządu też to nie interesowało?

- No właśnie. PKNMiJ nie jest wprawdzie ministerstwem, ale centralnym urzędem podległym premierowi. Prezesi takich urzędów byli zapraszani na posiedzenia Rady Ministrów, ja natomiast nie. Ani gdy premierem był Jaroszewicz, ani kiedy Babiuch, ani gdy Pińkowski. Dopiero kiedy premierem został Jaruzelski, zaczęto mnie zapraszać jako prawie pełnoprawnego członka Rady Ministrów. W ogóle rządu, muszę powiedzieć, nie interesowały problemy jakości, normalizacji, postępu technicznego. Z wicepremierów prawidłowy stosunek do tych zagadnień miał jedynie Aleksander Kopeć, świetny inżynier, bardzo dobry jako minister przemysłu maszynowego. W okresie, kiedy byłem poddany ostracyzmowi, on był jednym z tych nielicznych, którzy byli mi życzliwi i współdziałali z PKNMiJ. Spośród innych wicepremierów jedynie Józef Kępa interesował się problemami jakości, szkoda, że krótko. Wszystko się popsuło, gdy przyszedł Szałajda.

- Czy mówiło się wówczas i o pańskim powrocie?

- Były takie przewidywania, ale nie wyglądały one realnie.

- Dlaczego? Wydawało się rzeczą absurdalną, że Moczar i Olszowski mogą objawić się jako szermierze odnowy, ale jednak stało się.

- Moczar był cały czas członkiem KC, więc do Biura było mu bliżej, poza tym bardzo poparł Kanię, z którym ja byłem w konflikcie. Warunki, na jakich ewentualnie mógłbym wrócić - potępienie Gierka - były dla mnie nie do przyjęcia. Zresztą, jak się okazało, Moczar wrócił nie na długo. Na IX Zjeździe nie wybrali go i poszedł na bok, tym razem już na dobre.

- Kania, Barcikowski, Jaruzelski i inni, którzy wygrali ten zjazd, a przedtem byli cały czas z Gierkiem, mogli się obawiać, że i na nich Moczar ma naszykowane teczki?

- Być może. Proszę pana, jak myślę o kwestii odpowiedzialności, to się zastanawiam, dlaczego jedni, którzy byli przez dziesięć lat w Biurze, byli dobrzy, a inni źli. Jedni mieli ponieść wszystkie konsekwencje, włącznie z internowaniem i postawieniem przed Trybunałem Stanu, a inni - ich koledzy -- wystąpić w roli ich prokuratorów i sędziów.

- No właśnie. I do jakich wniosków pan dochodzi? Pan też o wielu osobach z ówczesnego świecznika mówił wielokrotnie: „mój przyjaciel”, „mój dobry kolega”, a za chwilę - „mój wróg”, „mój przeciwnik”, „ręki mu nie podam”. Na szczytach władzy nie ma miejsca na prawdziwą przyjaźń, zwykłą lojalność czy choćby elementarną uczciwość?

- Nie ma miejsca. Na żadnym tronie nie siedzi się we dwóch. Mocne przyjaźnie nawiązuje się wśród ludzi dążących do władzy, wówczas popierają się oni wzajemnie, ale jeśli już jeden z nich osiągnie szczyt władzy - nie ma tam miejsca na przyjaźń, pozostaje tylko egoizm, interes, zimne, cyniczne wyrachowanie. I tak właśnie skończyła się moja przyjaźń z Gierkiem.

Ale ciekawy proces zachodzi w drugą stronę. Zwykle pokrzywdzeni, zwłaszcza odsunięci od władzy, łączą się, zawiązują przyjaźnie.

- Taka międzysalonówka odsuniętych?

- Można tak to nazwać. Niedola łączy ludzi. Ale są pewne granice. Kiedy byłem odsuwany, wśród tych, którzy mnie najbardziej atakowali, byli Grudzień i Kowalczyk. A potem, po Sierpniu, kiedy ich usunięto, jeden i drugi zadzwonił do mnie. Ale z nimi nie chciałem rozmawiać.

- Czuł pan jakąś schadenfreude, gdy w stanie wojennym internowano Grudnia, Babiucha, Szydłaka, Gierka, Łukaszewicza - pańskich wrogów - podczas gdy pan dalej był szefem centralnego urzędu?

- Nie tylko się nie ucieszyłem, lecz interesowałem ich losem. Nieraz nachodziła mnie myśl, że gdybym zawczasu nie odszedł, dzieliłbym ich los.

Nie uważam, by ich internowanie było potrzebne. Należało ich rozliczyć, osądzić, postawić przed Trybunałem, ale szykanować w ten sposób schorowanych ludzi, zamykać w więzieniu - to było nie w porządku. W ten sposób, zastępczo, wykrecono się od Trybunału, bo sądzeni mieliby zbyt dużo do powiedzenia o sądcach,

- Jak pan odebrał stan wojenny, tę największą polską hańbę dwudziestego wieku?

- Chyba tak samo jak pan. Nic nie wiedziałem o jego przygotowywaniu i zostałem nim zaskoczony tak samo, jak całe

społeczeństwo, chociaż nie było żadną tajemnicą, że wojskowi coś tam kombinują. 11 grudnia pojechałem do Katowic i tam dowiedziałem się o tym. W hotelu partyjnym, gdzie mieszkalem, o godzinie szóstej rano. Zaraz, tego samego dnia, 13 grudnia, wracałem do Warszawy, samochodem służbowym, z kierowcą. Co kilkadziesiąt kilometrów zatrzymywały nas patrole, a mieliśmy kartę „W” zwalnającą od kontroli. A taki kapral czy sierżant z taką zupacką arogancją w głosie mówi, że to dla nich nie jest ważne, że musimy poczekać. Wyraźnie wyżywał się widząc, że ma tutaj jakiegoś prezesa, prawie ministra, i może go potrzymać na mrozie. Przyjmowałem to z najwyższym oburzeniem. Wręcz porażało, że kapral decyduje o tym, kto może poruszać się po ulicy. Przypominało mi to najgorszy okres...

- Okupację hitlerowską?

- Tak, niestety. W czasie tej drogi z Katowic do Warszawy zastanawiałem się, przeciwko komu właściwie jest ten stan wojenny? I doszedłem do wniosku, że przeciwko nam.

- To znaczy?

- Przeciwko społeczeństwu.

- I do jakich pan wniosków jeszcze doszedł, kiedy zastał pan w domu głuchy telefon, gdy po ósmej wieczorem nie mógł pan wyjść z domu?

- Do smutnych. Od lipca 1944 r. do maja 1945 r. na ziemiach polskich trwała wojna, jednak nie wprowadzono stanu wojennego. Rządzili cywile, nie wojskowi komisarze, nie wyłączono telefonów. Wydaje mi się, że stan wojenny był potrzebny generalicji, która chciała wykazać swoją przewagę nad cywilami, zwłaszcza nad cywilami zajmującymi jakieś stanowiska w państwie. Może komuś zamarzyła się nowa odmiana ustroju socjalistycznego – socjalizm koszarowy, w którym o wiele łatwiej będzie rządzić ludźmi przy pomocy wojska.

- W poniedziałek rano poszedł pan do swego biura. Jak tam wyglądały sprawy?

- Jeszcze przedtem, w niedzielę, o ósmej czy dziewiątej wieczorem, przyjechali po mnie, bym poszedł na posiedzenie Rady Ministrów. Część ministrów była przygnębiona wprowadzeniem stanu wojennego, ale niektórych wręcz rozpieła euforia. Na przykład profesor Benon Miśkiewicz, minister szkół wyższych, wygłosił taki czołobitny, unizony pean, że ta operacja przejdzie do historii największych polskich operacji wojskowych - było to obrzydliwe. W takim duchu wystąpił też Roman Malinowski i paru innych. „Historia nie zapomni wam, generale, jesteście mężem opatrnościowym” - tak jak my tylko potrafimy wazelinę łać. Tu dzieje się wielki dramat narodowy, a oni sobie szopkę robią i szukają korzyści dla siebie.

- Nie podobało się to panu?

- Mówię, że aż mnie mierziło.

- To dlaczego nie zerwał pan z tym rządem, z tymi ludźmi i z tą partią? Nie mówię, tak jak ci pańscy Japończycy, żeby od razu popełniać harakiri, ale wystarczyło oddać legitymację i wyjść.

- Nie zrobiłem tego. Nawet wyraziłem uznanie za technicznie sprawne przeprowadzenie akcji. Ale kiedy generał Jaruzelski zaproponował mi, żebym został pełnomocnikiem na Katowice, kategorycznie odmówiłem, bo nie chciałem swoją osobą firmować stanu wojennego. On to przyjął, jak mi się wydaje, bardzo niedobrze.

- Natomiast do pańskiej instytucji, PKNMij, przyszedł taki pełnomocnik czy też komisarz wojskowy?

- Nie, u mnie go nie było. Przyszedł pułkownik, szef wydziału wojskowego, i powiedział mi, że wojsko obejmuje władzę. „Jak mam to rozumieć?” - zapytałem. „Czy to znaczy, że wy tu będziecie siedzieć na moim miejscu?” „Nie, ja tylko będę nadzorował”.

„Pokażcie upoważnienie do tego nadzorowania”. Nie miał. Powiedziałem, że jak przyniesie upoważnienie, to będziemy dyskutować, a teraz do widzenia. I na tym się skończyło.

- Jak natomiast patrzył pan na stan wojenny jako stary gliniarz? Na wszechwładzę milicji i ubecji, na internowanie tysięcy działaczy, na te kordony zomowców-sadystów na-faszerowanych prochami, na masakrę górników w kopalni „Wujek” i na strzelanie do ludzi jak do kaczek - w Lubinie, Nowej Hucie, Gdańsku?

- Mówiłem już, że wyraziłem uznanie dla sprawności. Muszę zaprotestować przeciwko twierdzeniu „o nafaszerowaniu prochami”. Tego na pewno nie było. W moim przekonaniu dramat „Wujka” był wynikiem wad dowodzenia i tu należy doszukiwać się winy. Na pewno mogło się obejść bez takich ofiar. Wiem, że kierujący stanem wojennym robili, co było możliwe, aby nie było większego nieszczęścia.

Ale sam stan wojenny i 10 lat po stanie uważam za stracone dla gospodarki. Nie osiągnęliśmy poziomu produkcji przemysłowej z roku 1979, jeszcze gorzej jest w budownictwie, stopień jakościowej odnowy produkcji jest bardzo mały, a zużycie maszyn i urządzeń jest wprost zastraszające.

- Ale jak patrzył pan wtedy na działalność swojego byłego resortu? Czuł pan zażenowanie czy może satysfakcję, że chłopaki tak sprawnie rozwalają te drzwi siekierami, demontują centrale telefoniczne, wyciągają ludzi z kryjówek, pałują na ulicach?

- O działalności tego resortu niewiele mogę powiedzieć, bo, jak panu mówiłem, miałem do niego dystans, a więc niewiele wiedziałem.

- Ale czytał pan gazety i oglądał telewizję, docierało do pana co najmniej tyle samo, co do każdego Polaka, a pan dodatkowo, znając kulisy działania resortu, umiał czytać między wierszami. Słuchał pan przecież oświadczeń i wystąpień rzeczników Urbana i Garstki, ministra Kiszczyka w różnych dramatycznych sytuacjach, chociażby po zamordowaniu księdza Popieluszki przez funkcjonariuszy MSW. Jak pan się do tego odnosił?

- Otóż, proszę pana, dla mnie to jest dość dziwna sprawa. Sam zadawałem sobie pytanie, dlaczego w tym czasie było tyle tajemniczych przypadków. Już panu mówiłem, że nie mogłem zacytować żadnej takiej sprawy z lat, kiedy byłem wiceministrem i ministrem, poza pobicie Kisiela. A tutaj - tyle spraw, z których najstraszliwszą była śmierć Popieluszki. I sam fakt, i metoda - to dla mnie było przerażające. Jak do tego mogło dojść? Oczywiście przyczynił się do tego charakter Piotrowskiego i Pietruszki, ale musiał jeszcze powstać klimat, który spowodował, że oni odważyli się na to.

- Nie tylko oni i nie tylko na to. Było około stu takich spraw. Ale mnie wystarczy ta jedna. Jej szczegóły, choćby tylko te, które powychodziły na procesie, a był to przecież tylko czubek góry lodowej, jeżyły włosy na głowie. Działania tych

ludzi miały przecież charakter gangsterski. To była przygotowana z premedytacją akcja grupy bandytów. Co mogło wytworzyć taki klimat? Z jednej strony mamy człowieka niby szlachetnego, nieposzlakowanego, stojącego na czele tej struktury - wojskowego, o dobrych manierach, darzonego zaufaniem nie tylko przez Jaruzelskiego, ale i przez swoich przeciwników; przecież nawet wielu działaczy opozycji nie pozwala złego słowa o Kiszczaku powiedzieć. A z drugiej - bandyckiego raka, toczącego strukturę, na czele której stoi ten człowiek. Choć wiele razy zapewniał on o woli wyplenienia zła i nawet przeniósł na resort spraw wewnętrznych pewne wojskowe wzorce, mające oczyścić tę strukturę. Czy sprawił to sam klimat stanu wojennego, nieograniczona władza i bezkarność munduru, czy jeszcze coś innego?

- Zadaje pan bardzo głębokie pytania. Ja nad tym, o czym pan mówi, nie zastanawiałem się, dopiero teraz głośno myślę. Kiszczaka, jak mówiłem, znałem kiedyś jako szefa Zarządu II Sztabu Generalnego. Gratulowałem mu awansu. Był to pierwszy minister spraw wewnętrznych od czasu mego odejścia, który zaprosił mnie do siebie na rozmowę. Załatwił mi przy tej okazji kilka trudnych spraw - nie moich, ale pracowniczych. I wiem, że wszyscy ludzie, którzy się z nim zetknęli, chwalili go. Jako o człowieku mogę o nim powiedzieć same dobre rzeczy.

Natomiast do niego, jako do ministra, mam dwie uwagi. Pierwsza: trzeba rozumieć psychikę MSW. Ten resort oczywiście najbardziej akceptowałby szefa pochodzącego z MSW, zniósłby kogoś z KC, ewentualnie z sądownictwa lub prokuratury, a już na pewno niechętnie odniósł się do kogoś z wojska. Uważam, że towarzysz Kiszczak nie pozyskał zaufania pracowników resortu, zwłaszcza że ściągnął jeszcze kilku oficerów z wojska - i czuł tam się obco. Pracownicy traktowali go niejako ministra, ale raczej jako komisarza na resort. I uwaga druga: on mało wnikał w wewnętrzne sprawy resortu, miał za mało czasu. Zostawił to swoim wiceministrom, którzy nie wyróżniali się inteligencją. Nie mógł mieć więc prawdziwej kontroli nad resortem, bo kontrola nie polega na tym, żeby przyszedł dyrektor i na baczność złożył meldunek, ale żeby przejść z nim na „ty”, porozmawiać przy kawie, aby się powziął i powiedział o tym, czego nie napisze w sprawozdaniu. Co innego, gdy dyrektor tylko stuknie obcasami i zamelduje - towarzyszu generale, to i to, a co innego, gdy będzie mógł powiedzieć - słuchaj, Franciszku, coś nie podoba mi się w IV Departamencie, klimat jest niedobry. W tej służbie najważniejszych informacji i meldunków nie przekazuje się stojąc na baczność. Przecież Kiszczak w odpowiedzi na list Piotrowskiego przyznał, że nigdy nie był na naradzie w Departamencie IV. To nie powód, by się tym chwalić.

Zamiast kontrolować resort, Kiszczak zajmował się demokratyzacją państwa. To nie jest robota dla ministra spraw wewnętrznych. Muszę panu powiedzieć, że mnie nawet rozśmieszyło, kiedy generał powiedział, że stan wojenny został wprowadzony w imię demokracji. No i cały czas generał Kiszczak zajmował się demokracją. Potem przyszły rozmowy z opozycją. Magdalenka i Okrągły Stół, gdzie Kiszczak był gospodarzem. Powtarzam: minister spraw wewnętrznych nie jest od tego. Tam nie szef tajnej policji powinien siedzieć, ale premier, marszałek Sejmu, szef partii rządzącej czy ktoś taki, w każdym razie nie minister spraw wewnętrznych.

- W ten sposób - nie wiem, czy świadomie - zostało dowiedzione, kto faktycznie sprawuje władzę w PRL. Że to, co miało być filarem władzy partii komunistycznej, stało się znów władzą samoistną.

- Rzeczywiście.

- Sądzi pan, że o to właśnie chodziło? O pokazanie, że PZPR albo już się nie liczy, albo została wyparta gdzieś pod ścianę przez ten samorozrastający się filar, który może zechce sięgnąć po pełnię władzy, tak jak sięgnęło wojsko w stanie wojennym?

- Też mogło tak być. Pana teza nie jest do odrzucenia. Bo gdy tak siedzieli przy Okrągłym Stole, to ci z tamtej strony myśleli sobie: „co on tam o mnie wie, co ma w mojej teczce?”. A on też wiedział, kto jest kto, i to musiało ciążyć.

- A czy w czasie obrad Okrągłego Stołu - lub może wcześniej, lub może później, lub może nigdy - przewidywał pan rychły koniec tego systemu, tej partii i tego aparatu, którym służył pan przez 45 lat swojego życia?

- Zadał pan pytanie, które od wielu miesięcy ja zadaję wielu siwym i łysym już działaczom. Ja też siebie pytam, czy musiało się tak stać. Przeprowadziłem takich rozmów dużo i w 90 procentach - do których i ja się zaliczam - padają odpowiedzi, że ten system dalej nie mógł istnieć. On wyczerpał swoje możliwości. Jeżeli nawet musiało on zaistnieć w wyniku umów jałtańskich, a w wyniku układu geopolitycznego musiał być taki a nie inny, to spełniał swoją rolę przez pierwszych 5-10 lat. Dalej on już nie odpowiadał ani procesom społecznym, ani normalnym prawidłowościom rozwoju, ani potrzebom ludzi, a co najważniejsze - nie przyczyniał się do cywilizacyjnego przyspieszenia. Żaden totalitaryzm temu nie sprzyja, więc totalitaryzm komunistyczny nie mógł być wyjątkiem.

- Proszę pana, dla większości ludzi było to oczywiste od momentu, kiedy zaczęli samodzielnie myśleć. A do tej mniejszości, która przez 45 lat uporczywie temu zaprzeczała, należał i pan. Co więcej, tych, którzy głośno wyrażali tę prawdę, pan ścigał, przesładował, wsadzał do więzienia. Nie za żadne akty przemocy, a tylko za słowa - takie, jakie pan wypowiedział przed chwilą.

- Ja nie wiem, czy to jest zakodowane w naturze władzy, ale mnie osobiście, ani 45 lat temu, ani nawet 5 czy 3 lata temu, do głowy nie przyszło, że ten ustrój kiedyś może się skończyć. Przedwojenna burżuazja nie dopuszczała myśli, że jej władza nagle się skończy. Myśmy przejęli władzę i też nie dopuszczaliśmy tej myśli. „Raz zdobytej władzy...” i tak dalej, i tak dalej. Sądzę, że ci, którzy dziś przejęli władzę i budują nowy porządek, też traktują go jako coś wiecznego.

- Tyle że ci, którzy dziś mają władzę, nie wsadzą pana do więzienia, nawet na 48 godzin, ani nie zrobią panu rewizji za to, że się panu ten dzisiejszy porządek nie podoba.

- Ale i oni, którzy dziś rządzą, powinni do swych kanonów wmontować zasadę, że to się może kiedyś skończyć i trzeba będzie odpowiadać. Bo nasz główny błąd polegał właśnie na tym, że myśmy nigdy się z tym nie liczyli, i dlatego przegraliśmy. Jakiś nas chyba amok opanował, że wszyscy uwierzyliśmy, iż tak będzie zawsze.

Natomiast za rzecz wielce pozytywną uważam, że stało się tak, jak się stało - łagodnie i bezkrwawo. Niech pan popatrzy: ustrój się zmienił, a ani jednej szyby nie wybito!

- Czyli wasz błąd dostrzega pan tylko w taktyce - żeście nie przewidzieli, a nie w ideologii tego szczęśliwie obalonego ustroju? Bo w rzeczy samej uważa pan, że komunizm jest cacy?

- Każda władza ma do spełnienia trzy podstawowe funkcje: zapewnić istnienie państwa, zapewnić rozwój narodu i rozwój

cywilizacyjny. Przez tych 45 lat państwo utrzymywaliśmy bez zagrożenia granic. W 1946 roku było nas 23 miliony, a niedługo będzie 40 milionów. Różnica wynosi tyle, ile obecnie liczy Czechosłowacja lub dwie Austrie. Od 45 lat nie było wojny w tym regionie świata. Od chyba 300 lat jest to najdłuższy okres pokoju. W kraju naprawdę trochę zbudowano. To prawda, jesteśmy bardzo zapóźnieni cywilizacyjnie, ale to nasze zapóźnienie datuje się od 200 lat, bo gdy inni się rozwijali, myśmy walczyli o wolność.

I dlatego nie mogę zgodzić się z tymi, którzy mówią, że „budujemy na gruzach komuny”, która przez 45 lat niczego dobrego nie zrobiła, tylko same nieszczęścia. Powiem panu, że myśmy to samo mówili po wojnie o Polsce przedwrześniowej, i to też była nieprawda. I trochę głupio, jak oni powtarzają nasz bolszewicki błąd. Myślę, że po paru latach, jak zobaczą, co im udało się zbudować, te nasze „gruzy” będą inaczej wyglądać. Nie jestem wcale przekonany, czy za 10 lat nasze państwo będzie tak samo bezpieczne. Myśmy stale straszili Niemcami, a ludzie się nie bali. Teraz rząd uspokaja, że to nic groźnego, a ludzie się boją. A przecież oprócz Niemców dojdzie jeszcze zagrożenie nacjonalizmami rosyjskim i ukraińskim. Co te nacjonalizmy oznaczały dla Polski - wiadomo. Po raz pierwszy od 45 lat mówi się o zagrożeniu naszej wschodniej granicy.

Można o nas wszystko mówić, ale nie wolno nam zarzucać tego, żeśmy nie chcieli rozwoju cywilizacyjnego Polski i narodu.

- Było to usiłowanie nieudolne. Natomiast hamowanie rozwoju, tłumienie myśli, ograniczanie swobód wychodziło wam znacznie lepiej.

- Hola, hola, za bardzo pan upraszcza! Chociaż przyznaję, że łatwiej było nakazywać i zakazywać niż stwarzać warunki dla postępu naukowo-technicznego, dla cywilizacyjnego przyspieszenia.

- Ma pan poczucie winy czy poczucie przegranej?

- Przegranej czego?

- Przegranej tego, że przez 45 lat służył pan określonej idei, a przez 25 tę ideę wspierał pan czynnie i orężnie jako prominent aparatu przymusu, filaru owej władzy, i to się nagle rozpadło. Było i nie ma. Czasem tylko jeszcze odzywa się czkawka, która, mam nadzieję, przejdzie. A więc przegranej tego, że 45 lat - większość pana życia - poszło jakby na marne.

- Uważam że nie poszło, ale dziś, po latach, z tą wiedzą i doświadczeniem, uważam, że gdybym jeszcze raz miał możliwość wstąpić do pracy w organach bezpieczeństwa - to bym nie wstąpił. To uważam za swój wielki błąd życiowy. Nie powinienem tam pracować.

- Dlaczego? Ze względu na pańskie predyspozycje, bądź ich brak, czy też ze względu na istotę tych organów?

- Ze względu na istotę. Ale z drugiej strony, gdybym nie poszedł tam pracować, tylko został na przykład górnikiem, nie byłbym potem ministrem, sekretarzem, członkiem Biura i kto by tam o mnie wiedział? Pan by mnie nigdy nie znalazł, nie przesłuchiwał mnie, żeby to wydać w książce, bo co by pana interesował jakiś górnik?

- Dlaczego „jakiś górnik”. Gdyby przy węglu szło panu tak dobrze, jak w aparacie bezpieczeństwa, mógłby pan zostać przodownikiem pracy, wyrabiającym 300 procent normy, albo sztygarem, dyrektorem kopalni, potem ministrem górnictwa i wicepremierem, albo, czy ja wiem, profesorem, wybitnym specjalistą od węgla - i też trafiłby pan do gazet. Ten ustrój przecież stwarzał, jak widać, nieograniczone możliwości awansu dosłownie każdemu.

- Myślę jednak, że mimo wszystko moje życie byłoby uboższe, choć z drugiej strony nie miałbym takich obciążeń, stresów i poczucia winy, że przyczyniłem się do krzywdy wielu ludzi, którym złamano życiorysy.

- A więc przyznaje się pan do winy?

- Trzeba odróżnić winę od odpowiedzialności. Przyznaję się do odpowiedzialności, ale nie do winy, bo to pojęcie zakłada świadomą działalność. Ja chciałem dobrze służyć Polsce.

- Prawo i moralność znają też pojęcie winy nieumyślnej, Nie chciałem, ale zabiłem i muszę ponieść odpowiedzialność.

- Na taką kwalifikację moich czynów mogę przystać. Ale, podkreślam, że chciałem dobrze, uważałem to za słuszną drogę, tylko za późno spostrzegłem, że prowadzi ona donikąd. Tyle jeśli chodzi o moją działalność policyjną. Jeżeli zaś chodzi o polityczną, to urodziłem się jako lewica, byłem jej wierny całe życie i umrę jako lewica. Bo uważam, że jest to idea zbieżna i z dziesięciorgiem przykazań, i z ogólnym dążeniem człowieka. Uważam, że bez tego ustroju, który zapanował w Polsce w 1945 roku, ta wielka masa robotników - takich jak ja - nie miałaby żadnej szansy. To był wielki, skokowy awans historyczny, który więcej się nie powtórzy. Ja z tej szansy skorzystałem i tego się nie wypieram. Byłem skazany na biedę, na nicość, a doszedłem bardzo wysoko i dlatego nigdy nie zdradzę tej idei.

- Za to ona, można powiedzieć, zdradziła pana i takich jak pan. W ciągu jednej nocy wasza partia komunistyczna zniknęła, a jej członkom kazano przemałować się na socjaldemokratów. Nie pogrzebały jej żadne „siły antysocjalistyczne”, tylko czołowi gracze polityczni tejże partii. Niech pan popatrzy, jacy: Kwaśniewski, drobny bourgeois. Wiatr, profesorski syn wyrastający w puchu. Wilczek, obwołany najbogatszym człowiekiem Europy Wschodniej, Sekuła, robiący miliardowe interesy z Japończykami, Urban, Rakowski i temu podobni. Można rzec, sami „wrogowie klasowi” wedle komunistycznej typologii. Wczoraj świecili światłem odbitym kremłowskiej gwiazdy, a dzisiaj „jedzą z rąk światowego imperializmu w jego najgroźniejszej, bo pseudo-lewicowej postaci”, jak napisano by językiem pezetpeerowskich broszurek propagandowych. Takich to wodzów lewicy wykreowała pańska idea. I w dalszym ciągu jest pan jej wierny?

- Znam ich wszystkich i nie zgadzam się z tak pejoratywnymi ocenami. W PZPR było wielu zdolnych ludzi. Czy mamy im zazdrościć, że robią interesy? A co mają robić? Może dobrze, że tworzy się nowa warstwa, byle tylko lewica nie robiła lewych interesów. Natomiast rozwiązanie PZPR uważam za błąd. Trzeba było ją przekształcić, zdemokratyzować oczywiście, może zmienić nazwę, ale nie rozwiązywać. Bo nie członkowie partii odpowiadali za to, co się stało.

- A kto? Masoni i cykliści?

- W każdym razie nie wszyscy. Większość uczciwych członków partii nie miała żadnego wpływu na to wszystko. Odpowiadała za to władza, którą trzeba było ukarać, rozliczyć, napiętnować - ale nie cała partia. Jej członkowie zostali ukarani za winy kierownictwa. Zastosowano odpowiedzialność zbiorową, żeby samemu uchylić się przed odpowiedzialnością personalną. Ale partia powinna zostać. Albo jedna, albo podzielona na dwie, zgodnie z różnicami, jakie się zarysowały w jej łonie, ale uczciwie

przyznająca się do błędów i do przeszłości. Bo co by nie robiła ta socjaldemokracja, jedna i druga, to zawsze będzie uchodziła za przeфарbowanych lisów.

- [A po co w ogóle partia lewicowa? Nie uważa pan, że ideały lewicy dostatecznie zostały skompromitowane i nie mają na przyszłość żadnej racji bytu? W wyborach samorządowych ta przeфарbowana lewica dostała ćwierć procenta głosów.](#)

- Nie uważam. Człowiek ma lewą i prawą rękę, lewą i prawą nogę, we wszystkim - również i w polityce - musi być lewa i prawa strona. I tak będzie zawsze, dopóki ludzie będą się dzielić na biednych i bogatych.

Natomiast przeraża mnie rozkwit tych wszystkich ugrupowań nacjonalistycznych i szowinistycznych. Ja mam szczególne prawo to piętnować, bo byłem w grupie „partyzantów”, którą podejrzewano o nacjonalizm i antysemityzm. Ale myśmy głosili hasła patriotyczne, natomiast kolportowanie „Protokołów mędrców Syjonu” - dziś, na dziesięć lat przed końcem XX wieku - to, proszę pana, budzi śmiech i przerażenie. Sam Moczar by się wkurzył na niektóre napisy i gazetki. Jak można w telewizji tolerować pytanie - czy jest pan za Wałęsą, czy za Żydami? Także nie przyniesie Polsce pożytku natrzęsanie się ze Związku Radzieckiego, szczególnie ten cmentarny nacjonalizm. To już nie jest, proszę pana, demokracja, to jest anarchia i ciemnogród.

- [Co, pańskim zdaniem, powinno stać się z ludźmi zlikwidowanego aparatu bezpieczeństwa? Policja ich nie chce, aparat kryptokomunistycznej SdRP nie da rady ich wszystkich przyjąć, bo aparatu byłoby więcej niż członków, z placówek zagranicznych zwalnijają. Nowe kierownictwo MSW i UOP w swym chrześcijańskim miłosierdziu przyjęło chętnych do dalszej służby, kierując się ich „kwalifikacjami”, a przecież są to w gruncie rzeczy partacze. Oni przez 45 lat - pan to swoimi zeznaniami potwierdził - mieli wyłącznie jedno zadanie: utrzymać trwałość „realnego socjalizmu” po wsze czasy. I jak się z niego wywiązali? Inna rzecz, czy to zadanie w ogóle było wykonalne. Podobnie, można powiedzieć, spartaczyła robotę rumuńska „Securitate”, energowska „Stasi”, czechosłowacka „Veřejna Bezpečnost”, безпека węgierska, a nawet mongolska. Można więc powiedzieć, że polska SB znalazła się może nie tyle w dobrym, ile we właściwym towarzystwie. Ale przecież wystrzelić ich wszystkich na Księżyc nie da się. Co zatem z nimi zrobić?](#)

- W tym, co pan mówi, przejawia się tendencja do diabolizowania aparatu bezpieczeństwa. Niech pan popatrzy: wtedy, kiedy ten aparat był właśnie najsilniejszy, system się wywraçał. Lata 1954-55 - aparat był najsilniejszy w swojej historii, a przyszedł wstrząs, zakończony Październikiem '56. Koniec lat sześćdziesiątych - „moczarstwo”, jak je pan nazywa, i znowu wstrząs i dramat. Koniec lat siedemdziesiątych -jeszcze większa siła aparatu, który śmieje się, że tę całą opozycję korowską i inną można w jeden autobus zapakować, a przychodzi Sierpień, kiedy to wszystko potężnie się zachwiało, do tego stopnia, że w obronie systemu trzeba było wprowadzić stan wojenny. I znowu koniec lat osiemdziesiątych, monstrualnie rozbudowany aparat, prawie tak jak w latach pięćdziesiątych - i koniec wszystkiego. A więc diabelska moc aparatu okazała się mitem. Jeśli ludzie w to wierzą, nie ma co się dziwić, ale jeśli nie wierzyła w to władza, to jest to choroba.

- [Unika pan odpowiedzi na pytanie, co powinno stać się z ludźmi zlikwidowanego aparatu bezpieczeństwa.](#)

- Nie, nie unikam, właśnie pragnę odpowiedzieć. Mam istotne zastrzeżenie do sposobu przeprowadzonej weryfikacji pracowników byłej SB i milicji. Ma ona charakter ideologiczny, a powinna być pragmatyczna. W tej weryfikacji było coś z zemsty i porachunków. Obecnie sprawą szczególnej wagi jest ład, porządek i poczucie bezpieczeństwa przez mieszkańców Polski. Wzrasta liczba przestępstw, wzrasta agresywność przestępców. Ludzie boją się jak nigdy dotąd. Podziemie kryminalne staje się największym zagrożeniem dla demokracji. Większość pracowników SB należałoby włączyć do tej walki. Oczywiście część, zwłaszcza karierowiczów, powinna odejść. Ci, którzy pozostaną, powinni zająć się walką z podziemiem kryminalnym, głównie szajkami i gangami, gdzie niezbędne jest zastosowanie metod operacyjnych. Natomiast przyczyny zawalenia się systemu były głębsze. Był to system wymyślony, sztuczny, w pewnym okresie odpowiadał potrzebom rozwoju, ale potem stał się anachroniczny i opierał tylko na przemocy. Przemocą można zmusić więźniów w obozie do pracy w kamieniołomach i do cięcia drzew, ale nie do aktywnego wysiłku intelektualnego. I tak jak robotnicy ten system ustanowili, tak inteligencja go przewróciła, bo tylko ona może każdy system twórczo rozwijać, a tego systemu inteligencja rozwijać nie chciała. Bo myśmy ją od samego początku niszczyli, obrażali ją. Dlatego ten system był taki kaleki i musiał upaść.

- [Przyznał się pan do odpowiedzialności za błędy tego systemu. Czy to, że on upadł, stanowi dla pana dostateczną karę?](#)

- Osobiście pragnę, by ten nowy system był lepszy od tamtego.

- [Czego życzy sobie pan w ostatnim słowie?](#)

- Chciałbym, żeby te moje przemyślenia i moja wiedza o sprawowaniu władzy stały się przydatne tym wszystkim, którzy chcą rządzić w naszym państwie, a zwłaszcza tym, którzy chcą w nim demokratycznie rządzić. Żeby nie powtórzyli naszych błędów.

Spis treści

Protokół pierwszy	1
Protokół drugi	6
Protokół trzeci	15
Protokół czwarty	23
Protokół piąty	27
Protokół szósty	32

